

Artur Dudziński

## Władysław Gomułka – syn Antystenesa

*Przed wojną polski chłop nie miał nic,  
teraz ma dwa razy tyle.*

Pewnie nie wiecie, że Władysław Gomułka był uczniem Antystenesa, starożytnego filozofa pochodzącego z Aten? Nie martwcie się. Sam Gomułka o tym nie wiedział. Antystenes, siadając na białym i rozgrzanym od słońca kamieniu, nauczał, iż dobro — to redukcowanie własnych potrzeb. Przyjemność utożsamiał ze złem. To — Antystenes w największym uproszczeniu.

Towarzysz Wiesław wpajał podobną naukę polskiemu społeczeństwu oraz uczynił z niej regułę obowiązującą w jego prywatnym życiu. Mówiono, że sekretarz wiecie żywot ascety. Taki ascetyzm komunistyczny. Gomułka chciał zaświecić przykładem niewdzięcznemu narodowi. Jego ubiór cechowała urzędowa powściągliwość i prostota. Oszczędnie palił papierosy i ponoć oszczędnie pijał alkohole. Mieszkał prawie w spartańskich warunkach, a wybierając sobie małżonkę, zrezygnował z kobiecego wdzięku. Liwa Szoken, Żydówka, nie grzeszyła urodą. Pierwszy sekretarz pragnął być wzorem narodowej skromności, wyrzeczenia dóbr, wzorcem do naśladowania. Nie zauważył tylko — nikt nie miał wówczas odwagi, aby mu powiedzieć — że równie skromnie myślał i nic nie rozumiał z tego, co działo się w sercach Polaków i czym faktycznie był organizm kochanego przezeń PRL-u.

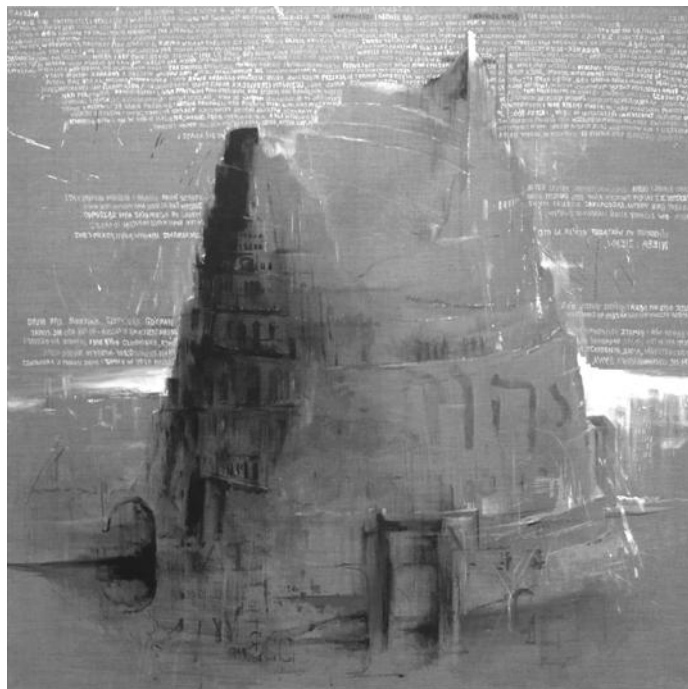
I ograniczał Władysław, rzecz jasna, co dało się ograniczyć, począwszy od błahostek, a kończąc na sprawach zasadniczych. Według relacji świadków Gomułka Zachęcał do mini-

malnego zużycia toaletowego papieru, a pomysł tak zwanej ślepej kuchni uznał za przebój godny państwa socjalistycznego. Towarzysz Wiesław temperował i z pasją edukował zacofane, w jego odczuciu, społeczeństwo. Wytykał mu niezdolność właściwej oceny czasu pokoju i dostrzeżenia zalet nowego ładu. Kochał szkolenia i tłumaczenie w nieskończoność kwestii, w jego rozumieniu, najistotniejszych. Pojedynczemu bądź gremialnemu przedstawicielowi narodu zaglądał prosto w oczy i z zacięciem belfra przytapywał nicponia na doktrynalnej niewiedzy albo nieumiejętności wyboru słusznego partyjnie kierunku. Stojąc na mównicy i wspierając się na niej rękoma, unosił głowę, wyginał ciało do tyłu, naprężał się i zdawał wydłużać. Przyjmował postać żmii w srebrzystoszarym garniturze. Okulary rosły na nosie Gomułki, który wił się i syczał do ludu:

- Wszechpaństwowa praktyka dnia codziennego dowodzi, że rozpoczęcie powszechnej akcji budowania postaw spełnia ważne zadania w wypracowaniu całościowego systemu powszechnego uczestnictwa w strukturach ogólnonarodowych i ogólnoregionalnych w celu i dla podniesienia poziomu gospodarki ale i poziomu życia narodu przejawiającego się troską o każdą chwilę bytu nowej i wolnej Rzeczypospolitej ludowej my obywatele i mieszkańcy współczesnego socjalistycznego miasta nie mamy prawa... nie mamy prawa mieć więcej aniżeli polski chłop mieszkaniec współczesnej socjalistycznej wsi mający nic i nic...

Groteskowy Gomułka był karykaturą mówcy. Groteskowy był PRL, o którym nie umiem myśleć inaczej, jak o karykaturze państwa.

Pani Zofia dokonała porównania mówiąc, że PRL tak gra pozorami, jak Mahler — swoimi instrumentami. Prawdy o wiecach, akademiach, ale i o wzniesionym na strachu blasku defilad przed honorowymi trybunami dowiedziałem się od pani Zofii. Dwie pierwsze formy wyznania komunistycznego credo stanowią niejako pretekst, by towarzysze z Wiesławem na czele



i gośćmi zza wschodniej granicy mogli się nagadać. Akademię ku czci z wymuszoną frekwencją uwodziły samych organizatorów, komunistów uwiedzionych władzą, twórców złudnego państwa.

— Mahlerowska symfonia jest niekończącą się defiladą. Słyszę i czuję u Mahlera ten sam defiladowy nerw, marszowy krok, pretensjonalny optymizm, ale i moskiewski... przepraszam, wiedeński blichtr. Czy nie uważasz, chłopcze?

— Jak w pierwszomajowych pochodach?

— Zupełnie. Czasem wydaje mi się, że cała nasza rzeczywistość jest jak muzyka Austriaka: pusta i nadęta niczym balon, w którego wnętrzu utknęliśmy. Lubieś pochody, mam rację?

— Uwielbiałem kolorowe baloniki, czerwone tulipany, kiełbaski z musztardą na papierowych tackach. Palce tak mi się kleiły od waty cukrowej, że nie mogłem ich rozdzielić.

I miłe głosy z megafonów ku radości wszystkich. Przemówienia Gomułki cechowała muzyczna potoczność. Dzisiaj nie chcemy tego słuchać, ale zwróćmy uwagę: mowy przywódców mają hipnotyzujące brzmienie. Zaciętrzewione wystąpienia silnorękich, Hitlera i innych mocarzy dyktujących wolę tłumowi, są z tysiąca słów złożoną muzyką pędzącą z impetem do finalnych braw. Ale z impetem w impas. Tyrani dwudziestego stulecia, którym nie brakowało cech wielkich dyrygentów, prowadzili swoje symfonie siły w kierunku, który dla nich samych stawał się smutną niespodzianką.

Trzeba dodać, że Wiesław był patriotą i darzył Polskę atencją. Stał twardo przy swoich poglądach w konfrontacji z Moskwą. Walczył o Polskę możliwie suwerenną. Gomułka, do którego sam Stalin dzwonił osobiście, długo jawił się społeczeństwu jako odważny, ujmujący i wiarygodny przywódca. Brało się to może stąd, iż głęboko wierzył w realność socjalizmu, jako autentyczny ortodoks. Czy tak samo jak Franciszek Józef we własne posłannictwo? Przy okazji — obaj panowie byli do siebie podobni: wysokie czoła, dominujące oficjalne stroje, surowość wobec samych siebie, przesadna oszczędność. Obu cechowała buchalteryjna drobiazgowość w codziennym studiowaniu raportów, sprawozdań — martwej literatury urzędniczej. Obaj byli rycearzami — strażnikami ładu, w który święcie wierzyli. Czy coś jeszcze? Proszę o wyrozumiałość żyjących do dziś Habsburgów za porównanie. Pomimo szczerych chęci nie mogłem zestawić Franciszka Józefa I z Leonidem Iljiczem Breżniewem. Franciszek Józef uważał siebie za wykonawcę woli bożej. Breżniew — za Boga samego. A Wiesław? Prawdopodobnie za kogoś, kim nigdy nie udało mu się zostać. Ze stratą dla Polski. To za panowania naszego Cynika aresztowano Matkę Boską. Pamiętamy, czy nie pamiętamy incydentu? Matkę Boską Częstochowską pod postacią obrazu. Poważnym błędem doktrynera, popełnionym w grudniu 1970 roku, szokiem dla Polaków i świata, było wydanie rozkazu otwarcia ognia do protestujących robotników wybrzeża. Uczeń Antystenesa ograniczył potrzeby narodu włącznie z elementarnymi. Pierwszy robotnik PRL-u wysłał przeciwko braciom swoim pięćset pięćdziesiąt czołgów, nie mówiąc już o transporterach, samolotach i śmigłowcach. Z betoniarki dalekich od rzeczywistości konceptów, służących li tylko utrzymaniu władzy, lał na głowy cór i synów pokoju beton prawdziwej zawieruchy wojennej. Złamał tym prawo i popełnił zbrodnię, za którą nigdy nie odpowiedział, co zresztą typowe dla tego kraju.

Chce się dodać: kraju wykwalifikowanych ściemniaczy, wrogów konstytucji, politycznych kuglarzy i zbrodniarzy, których byt pozostanie nienaruszony na zawsze. Umarzane śledztwa i procesy — to norma, dzień dzisiejszy. W Polsce jest tak, jakby ofiarom komunistycznych zbrodni założono niewidzialne wędzidła, które nie pozwolą im nigdy na cieszenie się smakiem sprawiedliwości i zadośćuczynienia.

Żaden ze mnie historyk, więc zamierzam następująco rozstać się z uczniem Antystenesa:

— Niech żyje nam towarzysz Breżniew, co brwi ma wielkie, niebosiężne. Niech żyje nam towarzysz Breżniew, co brwi ma wielkie, niebosiężne! — Krzyczał nocą pijany Gomułka we własnym gabinecie, z którego usunął wygodny fotel i który przemierzał defiladowym krokiem z wzniesioną butelką Stołowej. Z portretów zawieszonych na ścianie zerkali na ideologicznego syna Marks i Lenin. Wśród wizerunków brakowało Breżniewa. Breżniew zdjął Gomułkę ze steru u schyłku leninowskiego roku 1970, jak zdejmując się ze ściany obraz, który się opatrzył. Wieść niesie, że panowie nigdy nie przepadali za sobą, a za plecami jeden o drugim opowiadali niesmaczne żarty.

13 grudnia osobiście towarzyszył Gomułce przez całe jego życie. Tego dnia, w 1945 roku, wybrano go Sekretarzem Generalnym Polskiej Partii Robotniczej. W 1954 wypuszczono go z więzienia, jako nie pierwszego i nie ostatniego komunistę zamkniętego przez komunistów za zdradę, szpiegostwo i temu podobne, a tak naprawdę za to, że za dużo stawał się sowietom. Gdyby nie wyszedł, może los polskich rodzin byłby inny, bardziej ludzki? Tego już nikt nie sprawdzi. W 1970 towarzysz Wiesław podniósł ceny żywności, co skutkowało narodową tragedią. A w 1981 roku, znów 13 grudnia, przyglądał się kolejnej wojnie polsko-polskiej z okien prywatnego mieszkania w towarzystwie telewizora z generałem Jaruzelskim w żalobnym marszu słów i symboli.



Anna Bagriana

## Sto osiemnasty dzień

/nastrój/

Witaj, to znowu ja. Przyszłam jak zawsze, późnym wieczorem. Wiesz przecież, nie lubię kiedy w metrze panuje tłok i kiedy upała...

Zawsze zostaje iskierka nadziei. Jak by to nie było. Żarzy się, ledwie zauważalnie/ledwie, ledwie/, gdzieś na samym dnie zwęglonego serca – niby zacałowany, rzucony na ziemię niedopałek. Ale się żarzy...

Baliśmy się tego. Czekaliśmy i baliśmy się. „Boga nie ma” – wszystko, zaledwie tyle powiedział na pożegnanie, kiedy ja mokra od łez wysiadałam z jego samochodu. „Boga nie ma” – zabrzmiało to jak oskarżenie, o żywioł jaki wniosłam w jego chore od spokoju życie. I każda chwila milczenia – oskarżenie. Dla mnie, dla nieba, dla drogi, dla asfaltu, dla śmietnika jaki był obok, wreszcie dla Boga, który jak się okazało, nie istniał nigdy. Moje nogi w pokorze przemierzały dystans pomiędzy jego cieniem a budynkiem. Długo szukałam swojego domu pośród obcych, szarych gmachów. Nie zdążyłam zjeść całego słońca. Tylko je nadgryzłam.

Nazywali go Geo. Był starszy ode mnie, o jakieś 26 lat. Dziś – sto osiemnasty dzień jak żyję bez niego.

*Geo, Geo, posłuchaj! Bóg jest. Ja –jestem twoim Bogiem... Geo!*

Stałam się mało ciekawa dla siebie samej. Nie dodaje soli do niedogotowanej kaszy, nienawidzę wszystkiego co słodkie i piję wyłącznie wodę z kranu. Przystałam pisać wiersze i grać z karaluchami w chowanego. Już mi się nie śni mój mały aniołek z podbitym lewym okiem i zabrudzonymi atramentem skrzydełkami, który kiedyś starannie spisywał scenariusz mojego Losu. Może tak jest i lepiej?..

On sprzedawał leki i nigdy nie opowiadał mi o swoich dzieciach. Spał na brzuchu i nie lubił, kiedy wręczali mu kwiaty.

*Geo, Geo, nie zasłużyłeś na to, żebyśmy marzyły w twoich objęciach o innym...*

Czasami chce się, żeby życie stało się jednym nieprzerwanym snem. Nieumiejscowionym i kolorowym. Z rozlanym na parkiet brzoskwińowym sokiem i różowymi polnymi konikami zamiast ludzi. Z kumkaniem błękitnych żabek na obcym łóżku i jaskrawymi jadalnymi gazetami, które mają mleczno-waniliowy smak. Z czułkami żywego ślimaczka na telewizorze i trójkątnymi monetami za jakie kupują tylko chleb zrobiony z mlecza. Z przezroczywym niebem i możliwością latania, tam gdzie zechcesz...

Według horoskopu był Lwem. Dumnym i delikatnym drapieźnikiem z wysokim czołem mędrca i zahartowanym sercem wojownika. Nocami piliśmy gorące mleko z jednego kubka i patrzyliśmy jak wypełnia się młody księżyc. Trzymałam jego prawa rękę na swoim ogolonym łonie i prosiłam, aby nie wstydził się swojego obłąkania. Szłam na spotkanie swojego przeznaczenia. A on wszystkimi siłami bronił tego, w co nigdy nie wierzył. Oprócz cienia mojej przeszłości, naznaczonej innymi mężczyznami tak samo prześladował go cień mojej przyszłości. Ale nawet żywioł nie jest wieczny...

*Geo, tak zachwyciliśmy się swoim szczęściem, że nawet zapomnieliśmy po co przyszlismy na ten świat.*

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny

Nr 68/2018

Myślałam, że słońce będzie słodkie. Ale ono ma smak zielonego pomidora palonego nieświeżym olejem. Każdego ranka strasznie boli mnie głowa...

Kiedy był u mnie ostatni raz, zostawił na półeczce w łazience swój zegarek. Z czerwonym skórzanym paskiem i pustym cyferblatem. I napisem "Freedom" na minutowej strzałce. Kiedy zdradzałam go z innym, czekał na mnie w swoim samochodzie. Ale wracałam do domu nad ranem. Zimna i zmęczona. Bez makijażu i bez komentarzy.

Sto osiemnasty dzień ja uczę się powstrzymywania łez.

*Twój zegarek stanął, Geo, od razu po tym jak odszedłeś.*

Zawsze żarzy się iskierka nadziei. Ale we mnie jej nie ma. Przecież wiedziałam, że to nie jest moja bajka?..

On modlił się do mnie i sama uwierzyłam w swoją świętość. Byłam Bogiem, którego on wymyślił dla nas obojga. Ale Boga nie ma. Tak powiedział, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni...

Dobrej nocy Geo. Jutro znów przyjdę do Ciebie i przyniosę cztery purpurowe róże. Nie ma znaczenia, że ty nigdy nie lubiłeś kwiatów...

Anna Bagriana

\* \* \*

Ten deszcz – jak gdyby mleko, gęsty Szaruga, że nie widać nawet domu...  
Znajomą postać odprowadza wzrok  
I rusza na spotkanie nieznajomej,

Ten deszcz – latami nie zmęczony trwa,  
Jak dni – co nie zmęczone drogą...  
A my idziemy –

życia dwa  
Pod parasolka jedną...

**Anna Bagriana** - ukraińska poetka z „pokolenia dwutysięczników” -pisarzy, którzy debiutowali po 2000 roku. Autorka książek poetyckich: „Kwiatostan słów” (Kijów 2000) „Wśród snu bżów” (Kijów 2002) „Między Bogami a nami” (Kijów 2005), „Inne linie” (Kijów 2008)/, utworów dramatycznych (m.in. „Rododendron”, „Jest w aniołach coś szatańskiego”), nowel, opowiadań oraz powieści „Za Habijeju albo na przekór zabobonom”. Urodziła się w 1981 roku w Fastowie. Ukończyła wydział filologiczny Uniwersytetu Kijowskiego im. Tarasa Szewczenki. Pracowała jako dziennikarka w radiu i telewizji, była też starszym redaktorem Ogólnopolskiego Komitetu ds. Ukraińskiego Radia.

Jest laureatką wielu konkursów w tym „Poetyckich warsztatów – 2002” oraz nagród za mistrzostwo w posługiwaniu się słowem „Rękodzieło” 2003 w kategorii poezji i w 2004 w kategorii dramatu. Jej wiersze i opowiadania były tłumaczone i publikowane w polskich pismach literackich.

**Tłumaczenie z ukraińskiego:** Wojciech Pestka.

## Marks w „Pudelku”

(dokończenie)

W swoich pracach Marks ciskał gromy na bezwzględnych kapitalistów, którzy wyzyskują robotników. Nigdy jednak nie natknął się i nie opisał sytuacji, kiedy za wykonywaną pracę nie płacono wcale. Taki przypadek istniał, i to u niego w domu. Helen Demuth służąca u Marksów została „przydzielona” do rodziny przez teściową Marksa, która odczuwała smutek i obawę o losy Jenny wydawanej za męża. Helen pracowała ciężko – gotowała, sprzątała, prała. Za swoją pracę nie otrzymywała wynagrodzenia. Pozostała w rodzinie Marksów do swojej śmierci w roku 1890 (miała wtedy 67 lat). W latach 1849 – 1850, w najgorszym okresie dla rodziny, która zajmowała dwa nędzne pokoje, Helen została kochanką Marksa i zaszła z nim w ciążę. Marks bardzo się trudził, by ukryć stan służącej przed rodziną i rewolucjonistami. Nakłonił Engelsa do uznania urodzonego Henryka Fryderyka Demuth za swoje dziecko. Chłopca oddano do robotniczej rodziny na wychowanie, a Engels na łóżu śmierci wyjawiał, że ojcem Henryka jest Marks (podobieństwo chłopca do Marksa było ponoć uderzające). Marks nigdy się z synem nie spotkał, mimo że Henryk odwiedzał swoją matkę w jego domu. Chłopiec mógł wchodzić tylko kuchennymi drzwiami i przebywać w pomieszczeniach dla służby.

Trzy córki Marksa, bystre i inteligentne były sekretarkami i opiekunkami ojca. Marks odmówił im wykształcenia i nie pozwolił na zdobycie jakiegokolwiek zawodu. Był przeciwny ich małżeństwu i nigdy nie zaakceptował swoich zięciów. Najstarsza córka Jenny zmarła kilka miesięcy przed ojcem. Laura poślubiła Paula Lafargue – 13 lat później oboje popełnili samobójstwo. Eleonora związała się z lewicowym politykiem i pisarzem Edwardem Evingiem. Na wieść, że potajemnie ożenił się z aktorką, otruła się kwasem pruskim. Urnę z jej prochami jak relikwię przechowywali brytyjscy komuniści. Dopiero w roku 1956, kiedy staraniem Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii szczątki Marksa i jego rodziny przeniesiono do okazałego grobowca we wschodniej części Cmentarza Highgate w Londynie, tam również spoczęły prochy najmłodszej Marksówny. Nieślubny syn Marksa Freddy, wychowany w robotniczej rodzinie, został wykwalifikowanym ślusarzem. Pracował na dworcu Kings Cross. Eleonora, po śmierci ojca, uznała go za swego przyrodniego brata i nawiązała z nim kontakt. Jednak rodzina Marksów nie przyniosła mu szczęścia. Nakłoniony przez Eleonorę pożyczył Evingowi oszczędności całego życia i nigdy nie odzyskał pieniędzy.

Nierzetelność Marksa jako człowieka wiązała się z nierzetelnością naukowca. Marksa nie interesowało dochodzenie do prawdy, ale jej głoszenie. Nie szukał prawdy, ale szukał jedynie faktów na potwierdzenie swoich tez. Potrafił nawet fałszować statystyki, by pasowały do jego poglądów. Pisząc o robotnikach, nigdy nie odwiedził żadnego zakładu pracy i de facto nie znał życia klasy robotniczej. Nawet tak często cytowane powiedzenia przypisywane Marksowi – „Religia to opium dla mas”, „Proletariusze wszystkich krajów

łączcie się” nie wyszły spod jego pióra, co autor „Intelektualistów” skrupulatnie udowadnia i szczegółowo opisuje intelektualne nadużycia filozofa z Trewiru.

„Żadna rewelacja o postępowaniu Marksa w życiu prywatnym lub o jego publicznej nieuczciwości, choć dobrze udokumentowana, nie zniszczyła – jak się wydaje – wiary jego zwolenników w to, że był człowiekiem prawym.” - napisał Paul Johnson w 1988 roku. Miał rację, choć zapewne nie przypuszczał, że twórca doktryny, którą wcielali w życie m. in. Lenin, Stalin, Mao Tse Tung, Fidel Castro (i inni dyktatorzy) zostanie ponownie wyniesiony na piedestał przez współczesnych europejczyków, a „Marksy” pod różną postacią będą zalegać na straganach z pamiątkami. Mam jednak nadzieję, że podczas pobytu w Trewirze, każdy znający życie prywatne autora „Kapitału”, zanim weźmie do ust ciasteczko w kształcie Marksa (zapewne lukrowane na czerwono), zastanowi się przez chwilę, czy nie stanie mu ością w gardle.

Po przeczytaniu „Intelektualistów” wpadła mi w ręce książka Moniki Muskały „Między Placem Bohaterów a Rechnitz. Austriackie rozliczenia”. To zbiór wywiadów ze współczesnymi austriackimi twórcami (m.in. Peter Turini, Ulrich Seidel, Elfride Jelinek) o lewicowej proweniencji. Jeden z rozdziałów nosi nawet tytuł „Marks i wagina”. Publikację wysoko ocenili czytelnicy i krytycy o lewicowych poglądach, a Bartosz Sadulski napisał w recenzji: „ujawniają się podobieństwa między austriackimi a polskimi piwnicami, z których po otwarciu wychodzą ekstremizmy, nacjonalizmy i resentymenty mające wspólne źródła w zaściankowym, perwersyjnym katolicyzmie”. Po przeczytaniu książki Muskały i opisach m.in. happeningów urządzanych przez austriackich twórców (plucie i załatwianie potrzeb fizjologicznych na austriacką flagę, niewybredne lżenie społeczeństwa) zobaczyłam taki sam jak u Marksa niepoahamowany gniew i nienawiść. Niczym filozof z Trewiru lewicowcy miotają klątwy na społeczeństwo, religię, i swoiście pojęty „nacjonalizm”. Gniew ciągnie się za lewicą jak... (taktownie nie skończę). Zmieniła się tylko klasa uciskana – proletariatus zastąpiły środowiska LGBTB oraz kobiety rzekomo represjonowane przez opresyjne państwo, Kościół i (jak krzyczą rozjuszone feministki) przez „męskie szowinistyczne świnie”.

---

Paul Johnson, „Intelektualiści”, EDITIONS SPO-  
TKANIA.

Monika Muskała, „Między Placem Bohaterów  
a Rechnitz. Austriackie rozliczenia”, KORPORACJA  
HA!ART, KRAKÓW 2016.

## Sławomir Krzyśka

\*\*\*

Dotykasz echa kroków  
w odbiciu widzisz spojrzenia

Tęsknisz za wiatrem  
wodospadem rozbitych chwil

Przybliżasz pisane chwilą  
oddane sny

## Zbigniew Kresowaty

### Na motyw

*tylko umysł wytwarza czas – św. Augustyn*

czasie mój czasie mój  
daj kilka sensów bez przeznaczenia daj  
choć jeden - a oddam ci spełnienie  
bez opóźnienia na potrzebny inny czas  
wstążkę drogi przypnij na rozdrożu - a oddam  
przestrzeni pola oceanów odsłonię sam  
horyzont i koniec podróży oddam sen  
a motyw jego za wzgórzem zaklętym

daj mi coś – nie - nie chcę już ciemności  
w której chodziłem kiedyś ze słowem  
jadłem i piłem bezmyślny toczyłem  
walki o wspólny sekret wiersza  
wtedy zatrzymało się echo  
na jutro

## Elżbieta Tyłenda

### A jeśli wszystkim rządzi przypadek?

*łatwiej sobie wyobrazić konie Apokalipsy  
niż swoją przyszłość*

twoje miasto umarło nocą. czasem niepokoisz  
się  
o coś lub o kogoś, kogo już nie ma na tej  
ziemi  
zapominasz, że popadasz w nawyk. myśli  
muszą ostygnąć,

dajesz im za mało czasu. kiedyś dni były  
dłuższe  
i kawa o wpół do ósmej, a teraz wciąż pytasz,  
kim jesteś. przed tobą nieustannie ta sama  
woda.  
nie nauczyłeś się po niej chodzić i nie wiesz  
co jest na drugim brzegu. możesz to sobie  
wyobrazić  
i niczego nie zmienisz. zmieniają się tylko  
kalendarze.

czas kruszy cię każdego dnia, więc zrób coś,  
zanim On przyjdzie i powie – „kobieto,  
mówię ci, wstań”.

## Anna Landzwójczak

### ludzka rzecz

opowiada legenda  
wędrująca z ust do ust  
że andaluzyjski koń  
powstał z wiatru  
siwą maść dało mu spienione morze  
jasną grzywę przyplływ fal  
choć się rodzi brązowy  
jak ziemia  
płowieje i siwieje po ludzku  
w tańcu wdzięczny ma chód  
grzbiet przyjazny

w *corridzie* także  
wdzięczny ma chód i  
przyjazny grzbiet  
z którego lanca *pikadora*  
rani byczy kark

zabijanie to ludzka rzecz

## Barbara Tyłman

### Rodzinny dom

gwarny i ciepły  
z zapachem  
staropolskich potraw  
opanowuje pustka.  
Zrodzona lampką wina  
rozrasta się  
w szklanicach  
złocistego napoju.  
Albumy  
odkrywają zawartość  
stwarzając okazję  
by znowu być  
pośród swoich.  
Betonowe ściany  
nie akceptują  
monologu.  
Bezpieczny azyl  
niebezpieczną  
samotnią.



Jerzy Grupiński

## Andrzejowe znicze

*Dnia 14 maja 2019 roku minie 35 lat od tragicznego skoku Andrzeja Babińskiego (urodzonego 5 stycznia 1938 roku) z ówczesnego mostu Marchlewskiego w Poznaniu. Świetny poeta, czołowy skandalista ówczesnego środowiska artystycznego, nieformalny patron naszego Klubu Literackiego doczekał się nie tylko opracowań krytycznych, filmu dokumentalnego, archiwum w pieczy Jerzego Szatkowskiego, także i pamięci w bieżących, medialnych publikacjach (vide rozmowa z Jerzym Grupińskim w „Poznańskim Informatorze kulturalnym” z listopada 2018 roku). Pamiętamy i książkę Andrzeja Sikorskiego, poświęconą Andrzejowi Babińskiemu – „Motyl na wieży Babel” (Wydawnictwo Poznańskie 1990). W legendzie i twórczości autora „Zniczy” zakochała się licealistka Bogna Hołyńska (dziś – po mężu Wiczyńska), opiekunka grobu poety, debiutująca niezwykle wierszami w „Akancie” i „Protokole Kulturalnym” w wieku 15 lat. Wierna pamięci, napisała pracę magisterską na UAM, której stronę tytułową tu publikujemy. Analizę twórczości Andrzeja Babińskiego poprzedzają rozważania teoretyczno-literackie, stąd przepisany początek rozdziału pierwszego pracy. Nazwisko promotora – profesora doktora habilitowanego Michała Januszkiewicza także wiążemy z naszym Klubem Literackim. Pan Profesor debiutował w roku 1995 w redagowanych przeze mnie w Zamku „Arkuszach Literackich”, tomikiem wierszy pt. „Z drugiej strony”, z posłowiem Rafała Kochanowicza.*

Uniwersytet  
im. Adama Mickiewicza  
w Poznaniu  
Wydział Filologii Polskiej  
i Klasycznej  
Instytut Filologii Polskiej

Bogna Wiczyńska

W poszukiwaniu autentyczności  
bycia. Podmiot w poetyckiej twórczości  
Andrzeja Babińskiego

In search of the authenticity of being.  
Subjectivity in the poetic work of Andrzej  
Babinski

Praca magisterska  
napisana pod kierunkiem  
prof. dra hab. Michała Januszkiewicza  
z Instytutu Filologii Polskiej

Poznań 2017

**PROTOKÓŁ**  
KULTURALNY

Praca magisterska  
porusza problem podmiotowości  
w poetyckiej twórczości  
Nr 68/2018

Andrzeja Babińskiego, w oparciu o ustalenia współczesnych badaczy humanistyki, zwłaszcza o filozofię Dasein Martina Heideggera oraz koncepcję podmiotowości sylleptycznej sformułowaną przez Ryszarda Nycza. Pierwszy rozdział stanowi wprowadzenie do problematyki „ja”, na następne składają się interpretacje i analizy konkretnych wierszy Andrzeja Babińskiego w kontekście wyżej wspomnianych filozofii oraz faktów biograficznych autora. Istotnym zagadnieniem, jakie porusza się w tej pracy, jest psychika jednostki twórczej, problem autentyczności i autokreacji.

### MEANDRY PODMIOTOWOŚCI

Podmiotowość to wyjątkowo złożone zagadnienie współczesnej humanistyki, w meandrach którego nietrudno literaturoznawcy zabłądzić, choćby z tego względu, że nakładają się nań różne dziedziny wiedzy i metodologie. W ostatnich latach, gdy wzrosło zainteresowanie tą tematyką, powstało wiele interesujących koncepcji dotyczących „ja” oraz stosunku „ja” do świata. Choć dziś w literaturoznawstwie mówi się szumnie o „powrocie Autora”, to powrót ten nosi piętno niejednorodności, dlatego temat ten wart jest głębszego zgłębienia. Wnikając zaś w niektóre teorie, można nawet dopuścić wątpliwość, czy rzeczywiście jest to „powrót” *sensu stricto*.

Aby niniejsza praca miała uporządkowany charakter, w pierwszym rozdziale zarysuję szerszy kontekst, w którym umieszczę dalsze rozważania o podmiotowości w poezji Andrzeja Babińskiego. Ważny dla tej twórczości wydaje się z pewnością kontekst egzystencjalistyczny, a także kontekst współczesnych badań literaturoznawczych osnutych wokół „powrotu” Autora – wymienić tu można zwłaszcza koncepcję podmiotowości sylleptycznej sformułowaną przez Ryszarda Nycza.

Warto na początku wspomnieć, że współczesne myślenie o podmiocie i tożsamości oscyluje między pojmowaniem go jako zagubionego i niepostrzeżonego odnalezienia własnego „ja” a stawianiem „ja” na pierwszym planie i wyrażającym je w śmiałych gestach. Taki stosunek do tożsamości i możliwości jej ujawniania się rzutuje na literaturoznawstwo i myślenie o podmiocie autorskim – niekiedy zagubionym w „meandrach” intertekstualności, a niekiedy pragnącym za wszelką cenę ukazać swoją obecność w tekście choćby poprzez wtrącanie weń autotematycznych wtrętów.

Bardzo ważny w kształtowaniu się tego rodzaju podmiotowości okazał się bez wątpienia okres przełomu wieków XIX i XX jako czas wyłaniania się ważnej opozycji *życia* jako kategorii nadrzędnej i tego, co mu zaprzecza – a więc konwencji, formy, kultury, utartych schematów i norm etc. Podmiot – w który jak dotąd wpisana była niezmiennosc i trwałość – zostaje rzucony w nieprzewidywalny nurt *życia* i poddany zmiennym prądom historii, wobec której traci suwerenność. Dlatego też w świetle późniejszej nieco filozofii Heideggera Dasein zawsze zwraca się ku światu, który stanowi charakterystykę Dasein.

Oslabienie podmiotu, relatywizacja, rozproszenie go doprowadziło do „śmierci podmiotu”, która odcisnęła swoje wyraźne piętno na literaturoznawstwie – do dziś bowiem mówimy o „podmiocie lirycznym” czy też w zwyczajnym mamy oddzielać

od siebie autora i tekst. Dla pewnego porządku przypomnę jedynie, że śmierć Autora, będąc w dużej mierze skutkiem panowania metodologii strukturalistycznej, oznaczała m.in., że to nie autor wyraża się poprzez język, lecz język wyraża się poprzez autora. Natchnienie, geniusz, indywidualizm zastąpione zostały inną potęgą – był nią właśnie język.

Pewien skrótowny i rzeczowy zarys „śmierci podmiotu” w różnych nurtach humanistyki, proponuje Edward Kasperski w artykule *Epitafium dla podmiotu? Przyczynek do antropologii literatury*. Wspomina w nim o nurtach, w których dokonał się przełom w myśleniu o kategorii podmiotu i które *suma summarum* złożyły się na omawiany kryzys. Oprócz ważnych bez wątpienia strukturalizmu i poststrukturalizmu jako istotny w tym względzie wymienia nurt egzystencjalizmu, w świetle którego *podmiot z kategorii poznawczej i sensotwórczej przekształcił się w egzystencjalną*. Jak pisze Kasperski, podmiotowi właściwe stały się wówczas wszystkie te przymioty, które przypisuje się ludzkiej egzystencji – zatem chwiejność, niestabilność, nietrwałość, przemijalność etc. Idąc dalej, należy wspomnieć, że w świetle egzystencjalizmu myśleniu o podmiocie towarzyszy myślenie o ruchu, dążności, o ciągłym stawianiu się – jak już zatem wspomnieliśmy, tożsamość nie jest dana raz na zawsze i dostępna, lecz jest niejako zadaniem. Podmiot natomiast, w świetle filozofii egzystencjalistycznej, jako taki nie jest z pewnością negowany – jak wiemy, najgłębsze doświadczenia „ja”: odrzucenie, wyobcowanie, niezrozumienie, bycie w ciągłej niepewności i lęku – stanowiły przecież centrum rozważań egzystencjalizmu. Jest to jednak podmiot osłabiony, rozproszony, *zagubiony w bezkresnych labiryntach własnej subiektywności; niemożliwy do pełnego poznania i zdefiniowania z zewnątrz*.

XX wiek to czas uobecniania się w literaturze wątków egzystencjalistycznych – panuje wręcz pogląd, iż jest to właśnie stulecie egzystencjalizmu. Częstym przejawem postawy egzystencjalistycznej w literaturze jest bunt – przeciwko zastanemu porządkowi świata, cywilizacji, kultury fałszu i nieautentyczności, wyobcowanie, niemożność skonfrontowania ze światem, samotność. Już ten pobieżny opis podmiotowości egzystencjalistycznej wystarczy, aby poszczególne jego cechy zauważyć w twórczości choćby Edwarda Stachury, Rafała Wojaczka, Kazimierza Ratonia, Haliny Poświatowskiej, Tadeusza Różewicza i wielu, wielu innych współczesnych twórców, w tym również w przypadku twórczości omawianego tu Andrzeja Babińskiego.

Można również – być może z pewnym uproszczeniem – umieścić myśl Heideggera w kręgu tej filozofii – choćby ze względu na cechy wspólne dla wyżej opisanego podmiotu egzystencjalistycznego z filozofią *Dasein* opisaną w dziele *Bycie i czas*: jest on niedostępny samemu sobie, a tym, co go charakteryzuje, jest *bycie-ku*, bycie-w – zatem bycie w ciągłym ruchu oraz bycie wobec czegoś, charakteryzowanie samego siebie poprzez kontekst, który otacza jednostkę. Podmiot ten jest od samego początku swego istnienia rzucony w świat i skazany na niepewność i niewiedzę o sobie samym; wiedzę zaś tę zdobywa nie bezpośrednio, lecz właśnie przebywając-w-świecie. W świetle filozofii Heideggera *Dasein* charakteryzuje ciągły ruch i niemożność bezpośredniego spotkania z sobą samym oraz z drugim. Dlatego też,

ze względu na opisaną przez Heideggera złożoność problemu *bycia* oraz stworzoną przez niego koncepcję jednostki uwzględniającą jej dramatyzm zwróceniu się ku własnemu *ja* oraz ku światu, filozofia *Dasein* stanowić będzie istotne tło interpretacyjne dla niektórych utworów Andrzeja Babińskiego, w dalszej części niniejszej rozprawy.

### **Powrót Autora**

Dziś – po latach kwestionowania jego obecności i wagi, powraca się do kategorii podmiotu i Autora jako instancji nadawczej tekstu, istotnego odnośnika dzieła. Literaturoznawcy, którzy przez lata odżegnywali się od tego, by choć w niewielkim stopniu brać pod uwagę autora jako zewnątrztekstowy punkt odniesienia w procesie interpretacji, dziś proponują czytanie personalistyczne, zakładające m.in., że *naturalny, właściwie niezbędny, kontekst interpretacyjny dla tekstu stanowi reszta twórczości, a narzucający się przedmiot badań – całość serii autorskiej*. W zaproponowanym przez Janinę Abramowską personalistycznym sposobie czytania chodzi jednak o odkrycie nie tyle stanów świadomości autora czy rekonstrukcję jego biografii, a raczej o odnalezienie najgłębszego śladu pozostawionego przez piszącego, jego *esen-cję* czy *najgłębsze odbicie*.

Nie sposób nie zauważyć, iż w pewnym stopniu sytuację powrotu Autora wymusza sama literatura – XX wiek obfitował w autobiografizm, czy to w formie jawnej, czy też ukrytej – widać wyraźnie, że „ja” autorskie pragnie powrócić, niosąc nowe treści i wartości, a postać autora – jego biografia, psychika, przekonania – w niektórych przypadkach – zwłaszcza zaś w omawianej tu poezji Andrzeja Babińskiego – staje się niezbędna w procesie interpretacji, pominięcie zaś jednostki twórczej, której w jej pisaniu chodzi przede wszystkim o ukazanie własnego *ja* (nieważne, czy jest to *ja* powstałe w wyniku autokreacji, czy będące przejawem potrzeby wydobycia i ukazania własnej autentyczności), powoduje zatracenie najgłębszego sensu tej twórczości. Sylwiczność współczesnej prozy, autotematyzm – są również przejawem współczesnego powrotu do autobiografizmu.

Problem tożsamości „ja” zanurzonego w świecie i wpływu świata na „ja” często pojawia się *a propos* rozważań związanych ze współczesnymi zwrotami w humanistyce: topograficznym, etycznym, a przede wszystkim narratywnym.

Najważniejszy w świetle tych rozważań wydaje się ten ostatni – zwrot narratystyczny – gdyż centralne miejsce zajmuje w nim problem tożsamości i formowania się jej w drodze autonomizacji. Proces ten niewątpliwie związany jest z indywidualistycznym charakterem współczesnej kultury – w jej kontekście jednostka sama usiłuje stanowić o samej sobie, decydować, jaka ma być, odrzucając rolę autorytetu czy tradycji, główną rolę odgrywają tu pojęcia indywidualizmu czy samorealizacji. Z omawianym zwrotem wiąże się przede wszystkim poszerzenie pojęcia narracji oznaczającej wcześniej sposób wypowiedzi w dziele literackim na pojęcie oznaczające *strukturę rozumienia* – dlatego też narracja jest współcześnie ważną kategorią obowiązującą zarówno w świetle badań literaturoznawczych, jak i psychologicznych, socjologicznych czy filozoficznych, można powiedzieć, że w dużej mierze funkcjonuje już jako pojęcie z dziedziny epistemologii, nie poetyki.

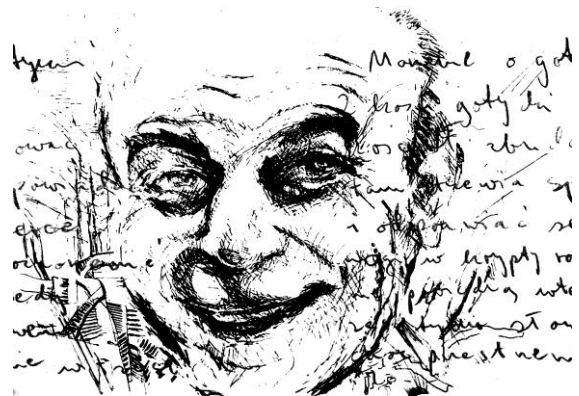


## Skrzypek

To był piękny wrześniowy wtorek... Lato nie chciało odejść i trwało w najlepsze, choć nocne chłody już przydały liściom żółceni, czerwieni i brązu. Słońce świeciło jak w lipcu, czasami tylko matowiejąc za białymi chmurami, ginąc w odmetach granatu i szarości, opalizując w szybach bloków i wieżowców. Cały dzień siedziałem w domu, czytałem powieść Tadeusza Sochy pt. Tajemnica Joliby, przeglądałem mapy w wielkim atlasie geograficznym, uczyłem się na pamięć nazw rzek, mórz i pustyń. O godzinie szesnastej miałem się spotkać przed blokiem z moim przyjacielem Arielem, z którym od roku chodziłem na treningi karate. Odbywały się one w sali gimnastycznej jednej z podstawówek, do której szło się przez część naszego osiedla i przez dzielnicę Jary. Ariel miał najoryginalniejsze imię w naszej szkole średniej, ale wcale nie była to fanaberia rodziców. Pochodził z rodziny żydowskiej, której korzenie sięgały wschodnich kresów dawnej Rzeczypospolitej, bo dajże z Brodów, gdzie jego pradziadek był rabinem. Lubitem go, bo miał wielką wiedzę geograficzną i na przerwach mogłem z nim dyskutować o afrykańskich wyprawach Henry'ego Stanleya, Davida Livingstone'a i Mungo Parka, testować znajomość nazw stolic, wysp i parków narodowych. Poza tym wzbudzał we mnie podziw, bo wspaniale grał na skrzypcach, opowiadał mi o wielkich kompozytorach, czym zaszczepił we mnie miłość do muzyki poważnej, a szczególnie do Beethovena i Haydna. Jak wszyscy chłopcy w naszym wieku, słuchaliśmy też muzyki rockowej, wymienialiśmy się drogocennymi taśmami magnetofonowymi z nagraniami piosenek zespołów Slade, Black Sabbath i Led Zeppelin. Ariel był dość niepozorny, wręcz filigranowy, miał jasną karnację cery, kruczoczarne włosy, wyrazisty pieprzyk nad górną wargą, głębokie, czarne oczy, w których stałe rysowało się rozmarzenie. Często wzruszał się przy graniu i słuchaniu muzyki i nie wstydził się ronić łez, czym zjednywał sobie wielu przyjaciół. Tylko jego zbyt ostry nos szpecił trochę jego twarz i powodował, że wyglądał zawadiacko, choć częsty uśmiech i odsłanianie białych zębów, łagodziły jego ostre rysy. Cała szkoła biła mu brawo, gdy grał koncerty skrzypcowe Telemanna, Mozarta i Vivaldiego, a dyrektor nieodmiennie prosił go, by na bis zagrał fragment koncertu a-moll Jana Sebastiana Bacha.

Zbiegając po schodach na podwórko, brzmiały we mnie jeszcze słowa z przeboju grupy Black Sabbath – *I need someone to show me the things in life that I can't find / I can't see the things that make true happiness...* Na przekór nim miałem dobry humor i z uśmiechem powitałem Ariego, który czekał już na mnie przed klatką ze skrzypcami w futerale. Po treningu miał jechać do szkoły muzycznej, gdzie miał umówione spotkanie z nauczycielem z filharmonii. Przybiliśmy piątkę i ruszyliśmy przed siebie, rozmawiając o tym i owym, relacjonując sobie ostatnie zdarzenia szkolne i podwórkowe. Trenowaliśmy karate w obrębie stylu Shōtōkan, co szczególnie ważne było dla Ariela, który nie mógł forsować rąk, tak cenny dla jego talentów muzycznych. Nasz trener odwiedził Japonię, gdzie zapoznał się ze szkołą mistrza Gichina Funakoshi, który wyszkolił wielu mistrzów.

Teraz już wychodziliśmy z naszego osiedla i sunąc przy wielkim cmentarzu podążaliśmy śmiało ku Jarom. Na końcu ogrodzenia cmentarnego, niczym huba przylepiona do drzewa, stał wielki zielony kiosk. Gromadziło się zawsze przy nim sporo amatorów piwa, pijanego w małych, baryłkowiatach butelkach. Tym razem dostrzeżliśmy z daleka, że koło kiosku koczują kilkunastu chłopaków i starszych mężczyzn. Jedni siedzieli na drucianych krzesłach, inni stali w kręgach i żywo o czymś dyskutowali, jeszcze inni skupiali się przy siatce okalającej nekropolię. Szliśmy zżwawo i zapewne nic by się nie stało, gdyby Arielowi nie zachciało się pić. Kupiliśmy dwie „Mandarynki” za dwa złote i zaczęliśmy je wolno pić, chwając smak i rozkoszując się gazem, który leciutko głąskał nasze podniebienia.



– Te, skrzypek, chcesz dostać w ryja...?! – dobiegł do nas z boku jakiś głos.

Natychmiast wybuchła salwa śmiechu, a gruby chłopak wysunął się przed grupę osobników trzymających w rękach butelki z piwem. Poznałem go od razu, bo wiele razy miałem z nim do czynienia na naszym podwórku. To był starszy od nas o dwa lata Wiesiek, przezywany „Czarodziej” albo „Czary”, mający na swoim koncie pierwsze konflikty z prawem i słynący z różnych dziwnych

wysoków. Ariel zmarszczył brwi, dokończył spokojnie picie napoju, po czym oddał butelkę i odwrócił się od bandy pijącej piwa. Zrobiłem to samo i już ruszaliśmy w dalszą drogę, gdy nagle „Czary” wykazał się wielką sprawnością, wykonał kilka susów, doskoczył do nas i próbował wyszarpnąć futerał ze skrzypcami z rąk mojego kolegi. Ariel wykazał wielki refleks i natychmiast przerzucił instrument do moich rąk, jednocześnie stając w pozycji wykroczonej. Patrzyć uważnie na to, co robi napastnik, a gdy ten próbował go uderzyć pięścią w twarz, śmignął błyskawicznie nogą i czubkiem buta uderzył go w grdykę. Cios był tak silny, że grubas upadł na ziemię i zaczął charczeć boleśnie, płuć krwią i sapać z nienawiścią.

– Osz ty kurwa skrzyпку...! – krzyknął histerycznie Kulczyk, trzasnął butelką po piwie o kamień i z koronką w ręku podbiegł do Ariela. Ari podskoczył do góry, ominął dłoń nowego napastnika i z rozmachem kopnął go kolanem w czoło. Kulczyk upadł jak rażony gromem, ale „Czary” już się podnosił i trzech nieznanych mi koleśków dźwignęło się z ziemi i ruszyło ku nam. Widząc co się święci, odłożyłem futerał na ladę kiosku i podążyłem do przodu. Choć trenowałem karate i stosowałem się do zasad szkoły oraz naszego mistrza, poczułem się zwolniony z przysięgi i w stosunku do nadbiegających osiłków zastosowałem tzw. „trójkę”, czyli kombinowane uderzenia, siejące prawdziwe spustoszenie. Ariel raz jeszcze kopnął „Czarego” w szyję, a ja trafiłem pierwszego koleśka z pięści w podbródek, po czym wykonałem obrót całego ciała, strzeliłem łokciem w brzuch drugiego z nich, a „trójkę” zakończyłem uderzeniem w czoło trzeciego napastnika. Uderzaliśmy w czułe miejsca, bo koronki w rękach chuliganów wskazywały na to, że są zdeterminowani uczynić nam krzywdę.

– Chłopaki, spierdalamy, to karatecy... – krzyknął nagle jeden z przeciwników, ale „Czary” nie dawał za wygraną.

– Ja im kurwa mać pokaże... – wrzasnął, splunął krwią na ziemię i ruszył ku Arielowi.

Ten sprytnie uchylił się, odskoczył na bok i jednocześnie pchnął grubasa ku ścianie kiosku. Tym samym rozkwaśił mu nos, zmaltretował łuki brwiowe i brodę. „Czary” opadł na ziemię i patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie. Ariel wolno sięgnął po skrzypce, poklepał mnie po ramieniu i sprężyście ruszyliśmy ku naszej sali treningowej. Po kilku dniach, gdy wracaliśmy z kolejnego treningu i znowu przechodziliśmy obok zielonego kiosku, zauważyliśmy „Czarego” z butelką w dłoni, patrzącego na nas złowrogim wzrokiem. Jego głowa owinięta była opatrunkiem gipsowym, który sięgał do piersi i obejmował oba ramiona. Uśmiechnęliśmy się do siebie, a Ari zapytał mnie teatralnym szepcetem:

– Myślisz, że „Czary” w tym hełmie leci w kosmos...?

– Pewnie tak... - odparłem ze śmiechem.

Ariel z rozmachem bujnął futerałem od skrzypiec, jakby prasował nim sukno powietrza, po czym podsumował naszą walkę w charakterystyczny dla siebie sposób:

– Czym byłoby życie, gdyby nie można było spuścić łomotu paru kanaliom...?

Fragment prozy wspomnieniowej  
pt. *Ostatnia walka bohaterów*

## Katarzyna Michalewska

### Straż miejska

Deszcz zmywa miasto,  
na chwilę przed zamknięciem  
sklepów światła:

*Pustostany wyobraźni w ręce  
kamienic*

Obroże bram, monitoring  
myśli, tele-portacje, tele-  
wizje-echo.

*Szanuj bliźniego swego, bo  
to ja:*

jednooki przechodzień  
łatwopalnych prawd

Tylko przepływające  
chmury – nie są tu  
towarem.

### Fotografia

J.S.

Cień  
usychającego drzewa  
w oknie pracowni  
zatrzymuje słońce.

Jego ręce-poskręcane  
konary, kiedy gestykuluje  
krzycząc do uczniów:

*Zapamiętajcie sobie,  
kolor nie mówi  
prawdy.*

Trzepot skrzydeł  
spłoszonego gołębia  
z tamtej strony ściany

wznieca grafit  
kurzu, otrzepuje

Światło.

---

**Katarzyna Michalewska.** Autorka czterech tomików poetyckich: „Melanżerja”, „Dialog”, „Równoważnia”, „T/a/O”, Zadebiutowała w 1981 roku. Laureatka wielu konkursów poetyckich np.: „Czerwonej Róży”, „Jesiennej Chryzantemy”, „Milowego Słupa”, nominowana w I Konkursie im. Jacka Bie-rezina. Wiersze, recenzje i tłumaczenia poezji australijskiej publikowała w „Kresach”, „Opcjach”, „Gazecie Malarzy i Poetów”, „Akancie”, „Protokole Kulturalnym”, „Nadodrzcu”, „Miasteczku Poznań”, „Okolicy Poetów” i „Frazie”. Mieszka w Poznaniu.

## Bunt poety

Praca – jedna z podstawowych aktywności dorosłego człowieka... Radosław Grzegorzczak ukazuje ją w sposób możliwie najbardziej obiektywny – oparty na doświadczeniu i obserwacji. „Contra” jest sprzeciwem wobec porządku świata. Czy naiwnym? A może wynika on z głębi człowieczeństwa i wrażliwości autora? Przyznaję, że taki bunt i ja odczuwam, czytając wiersze poety. Praca, która niszczy, nie daje szansy na rozwój, na biblijne pomnażanie talentów, nie jest tą, która może nadać sens życiu człowieka.

Poezja w tym tomie jawi się w formie prostej, aż do bólu. Tak, jakby wszelkie ozdobniki miały być zafałszowaniem, niepotrzebnym upiększaniem rzeczywistości... Czy przez to przestaje być poezją? Są to krótkie, pełne treści, zakończone celną puentą obrazy, malowane słowem, dotyczące ról zawodowych, stanów uczuciowych, społecznych, postaw ludzkich, rzeczywistości małych miasteczek; rzeczywistości „ziemi obiecanej”. Podobieństwo zarówno do ziemi brutalnej ukazanej przez Władysława Reymonta i bez litości przedstawionej w filmie Andrzeja Wajdy nasuwa się samo. Ale... Przecież to wiek XXI, a nie XIX. Czy naprawdę tak niewiele się zmieniło?

Odpowiedź jest w strofach „Contry” i... trudno nie zgodzić się z tezą autora, że często nie warto być zaangażowanym w tak funkcjonujący system, porządek... - *mieć – nie mieć wszystko zmielić jednakowo wielka to PUSTKA*. Czy to jednak naprawdę oznacza, że trzeba „zakopać” swój talent?

Poeta pyta: *Co jest ważne?* Prowokuje do przemyśleń, nie pozbawiając nadziei na znalezienie odpowiedzi. Bowiem, *choć czas biegnie i nie można cofnąć zdarzeń, można jedynie wychwycić to, co jest ważne*. A może ratunkiem jest twórczość?

Uważam, że bunt Radosława Grzegorzczaka i jego pisanie ma niepodważalny sens. Te wiersze są niewątpliwie autentyczne, bogate treścią, przestrzegające przed pułapkami życia i prowokujące do przemyśleń. *Co tak naprawdę jest ważne?* - pyta autor.

---

Radosław Grzegorzczak, „Contra”, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2017.

## Katarzyna Michalewska

### Trwanie w uważności

Jak zauważył Marcin Orliński: „Sens współczesnej poezji często sprowadza się do gry, a główną siłą liryki okazuje się fragmentaryczność dyskursu i przypadkowość przedstawienia”.

Poezja Michała Sokołowskiego stanowi zaprzeczenie tej skądinąd trafnej diagnozy. W jego drugim tomie „Przebłyśki” mamy bowiem do czynienia z pisaniem łączącym jednolitość stylu z ontologicznym środkiem ciężkości. Podmiot liryczny tych wierszy poszukuje z zaangażowaniem sensu

w świecie filozoficznych pojęć, poddawanych poetyckiemu eksperymentowi w laboratorium codziennych, uczuć i doświadczeń. „Buszując między rangą słów i lirycznych zwrotów” (określenie Łucji Dudzińskiej) wzbogaca lirykę o dodatkowy element „filozoficznymi grammi znaczeń”.

Kluczowym pojęciem „Przebłyśków” jest uważność rozumiana jako postawa cechująca się szczególnym rodzajem życzliwej uwagi nakierowanej na bycie „tu i teraz” – pełne i świadome przeżywanie wszystkiego, co niesie ze sobą życie rozumiane jako wartki nurt „przebłyśków chwili”. Uważność, stanowiąca serce buddyjskiej medytacji, jest przeciwieństwem dryfowania po powierzchni iluzorycznego bytowania. Trwanie w uważności prowadzi do doświadczenia stanu przebudzenia – intensywnego odczucia pełni istnienia – jasnej świadomości „niepowtarzalności wątku, w który zostaliśmy wpleceni”.

Zwyczajne zdarzenia, emocje i przeżycia nabierają w ten sposób znaczenia metafizycznego, jednostkowe spotyka się z abstrakcyjnym – w chwili doświadcza się wieczności, a namacalność rzeczy i zjawisk jest odbiciem „rzeczy samej w sobie”. Świat przedstawiony staje się odbiciem „materia prima”, jak echo „rozmowy, która nigdy nie gaśnie”. W niezmiennym źródle zmienności, zawierają się w sobie: chwila i wieczność, pełnia i pustka, trwałość i przemijanie, duchowość i sensualność.

Zdejmując kolejne warstwy z języka poszukuje poeta drogi w głąb – do nagości milczenia, (o czym nie da się powiedzieć, o tym należy milczeć) – wszak język kładzie się cieniem na procesie komunikowania się i jest wątpliwym ekwiwalentem doznań. W ciszy wyraźniej odkrywa się prawdę o czystej jaźni, uwolnionej od społecznych gier i nakładanych masek („wierzchnich powłok”). Narodziny i rozwój autentycznego ja, na co wrócił uwagę Rollo May, odbywa się natomiast w relacji z innymi: „Wołamy się nawzajem, budzimy się nawzajem, jesteśmy obecni dla siebie poprzez sztukę, czy związki międzyludzkie”. Soczewką, w której skupia się to, co należy do egzystencjalnego doświadczenia i poetyckiej sfery języka jest miłość.

W „Przebłyśkach” autor podejmuje udaną próbę zbliżenia się do granicy „doświadczenia-w-języku”, do stanu, w którym – jak naucza filozofia Dalekiego Wschodu – wykraczamy poza nasze jednostkowe (uwarunkowane) ego, stając się jedynie nieobecnym świadkiem, stapiając się w jedno z tym, „co rozkwita istnieniem”. Ma to często miejsce w sytuacjach granicznych, w stanach odmienej świadomości, w miłości. Ale też w momentach epifanii: „w przebłyśkach tańca, dotyku (...) szumu ulicy, smaku kawy w karaibskiej kawiarni na East Endzie”.

Kolekcjonującemu z pasją niestrudzonego badacza mnogość form, w które „wciela się życie”, poecie łatwiej zaakceptować z pokorą bolesną prawdę o nietrwałości rzeczywistości.

W wierszach Sokołowskiego daje się odczuć ciągła dialektyka niepokoju i uciszenia, wszystko przechodzi w swoje przeciwieństwo: ekspansja prowadzi do zanikania, przyciąganie i odpychanie rozdziela i łączy bieguny uczuć, czas i przestrzeń pulsuje w rytmie serca.

Wiersz nie jest dla Sokołowskiego jedynie przedmiotem kreacji, lecz raczej częścią procesu, dynamicznym odzwierciedleniem życia, jako ciągłego mijania rzeczy i relacji w powtarzalności zdarzeń.

Poeta tworzy swoisty „wiersz gestu” – zapis, który jest życiem przechodzącym w tekst. Codziennosc jest istotą podróży, a patrzyć i czuć oznacza żyć wędrować i pozostawiać ślad na ruchomym piasku języka.

Podobnie, jak Cioran upojony kruchością tego, „czemu nie jest dane trwać”, paradoksalnie wyczuwał w tym przebliski nieskończoności, tak podmiot liryczny wierszy Sokołowskiego odnajduje ją w „drobnych szczelinach w czasoprzestrzeni, gdzie chwile trwają lata, a wieczność mgnienie oka”. A dzieje się tak bez jakiejś wyższej racji – wszak rzeczy istnieją bez przyczyny, przez sam fakt bycia – dokładnie tak, jak rozkwita róża w wierszu siedemnastowiecznego mistyka Angelusa Silesiusa.

Podobnie, jak dobra poezja, której zbędne jest pytanie: dlaczego...

---

Michał Sokołowski, *Przebliski*, Tom X, Biblioteka Poezji / Na Krechę, Poznań 2016.

**Michał Sokołowski** (1990). *Absolwent Porównawczych Studiów Cywilizacji na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, obecnie doktorant w Zakładzie Filozofii Kultury. Autor publikacji naukowych oraz popularnonaukowych. Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich. Znalazł się czterokrotnie (2009-2012) w gronie nominowanych do nagrody głównej w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Wacława Iwaniuka na druk tomiku wierszy. Autor tomu Asymptoty (Kraków 2013), nominowanego do Nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny za Najlepszy Debiut Poetycki Roku. Lubi teatr, podróże, sport, muzykę alternatywną. Interesuje się estetyką i filozofią Dalekiego Wschodu.*

## Stanisław Szwarc

### Miejsca i ludzie

Na początku zbioru prawie sześćdziesięciu utworów wydanych pod bezpretensjonalnym tytułem „Album poznański” umieścił Jerzy Grupiński wiersz „Marceli Motty”. Ten kolaż z „Przechadzek po mieście”, w którym autor udziela głosu swojemu starszemu koledze po piórze, nadaje ton całemu tomikowi. Do Mottego nawiązuje również podtytuł – „Przechadzki poetyckie po mieście i bliskich sercu okolicach”. Dodajmy – przechadzki nie tylko po okolicach, ale i do ludzi bliskich sercu autora – tych żyjących i tych, którzy już z drugiej strony patrolują pocie.

Sporo ich zapewne na junikowskiej metropolii, która w wierszu „Nekropolis”, wydaje się pocie bardziej żywa niż miasto żywych, gdzie ciemno i marazm. Wiersz nie nosi daty, chyba jednak dzisiaj jego autor nie odniósłby takiego wrażenia. Poznań sprzed lat uwieczniony jest też pewnie w wierszu „Zawierzyć sztuce?”, gdzie wyobraźnia poety dosztukowuje piękno do projektowanej przez Paula Pitta zdewastowanej kamienicy najlepszego poznańskiego sztuczaka przelomu

stuleci Bolesława Richelieu przy Grunwaldzkiej. Dzisiaj już nie można by opisać *cieplej kulki wróbla / oderwanej od pelikanowej piersi / spadającej z chmurą tynku / wprost do żrenicy*. Wspaniałe sztukaterie orłów, smoków węży i nietoperzy znowu cieszą oko, nie pozostawiając miejsca wyobraźni. Znikły, niestety, bezpowrotnie inne kamienie. Znikło sporo dzieł architektury wymienionej w motcie wiersza „Starym domom poznańskiego śródmieścia”. *Imię – Secesja / nazwisko – Wczesna / z aktu zgonu 1972*. Znikła, gdy trafił ją *grom i błysk spychacza /.../ jak palec boży*. Jakie to szczęście, że wspomniana w wierszu *kobieta / z prawdziwymi piersiami /.../ wciąż podtrzymuje balkon / ptasiego gniazda* na ulicy Roosevelta. Ba, doczekała się nawet liftingu biustu i całej figury.

Wędrujemy w tych przechadzkach także po czasie, przenosząc się od Wiosny Ludów i krótkiego pobytu w Poznaniu Juliusza Słowackiego w utworze zbudowanym na fragmentach wiersza Słowackiego „Vivat Poznańczenie” do pomnika Poznańskiego Czerwca, gdzie napotykamy piękną frazę – *kielkujący / obok dwóch krzyży / Orzeł Oczekujący*. Inne z kolei *orły wiatr historii wymiata wrywa / spod spiżowych płyt* na pomniku Polskiego Państwa Podziemnego.

Było minęło – pozostaje obrazek ze „Spaceru po Łęgach Dębińskich”. *Sprawy są załatwione / żony pochowane /.../ córki wydane // Jeszcze tylko /.../ ten kawaleczek / parku asfaltowego /.../ Nakryty arią naszą słowiczą - / karuzelą wron*. Pozostaje zadumane spojrzenie na dwie kobiety. Tę z Wildy, która *patrzy i mówi. Mówi i patrzy /.../ Gdy zabierze czerwoną poduszkę / i zamknie okno / na zawsze zniknie ulica / Zamilknie miasto i świat*. Kobieta, okno, poduszka – trzeba być poznaniem, żeby wiedzieć, że bez takiej kobiety wildecka – i nie tylko – ulica nie istnieje, a mieszkanie „z wywieszeniem” od zawsze było w cenie u poznańskich pań domu. „Stabat mater” to zatrzymany w wierszu obraz z cmentarza. Przejmujący w prostocie obraz kobiety z *głosem w krtani / drżącą zatkniętym / z kroplą słowa / na wargach zaszniętą*.

Wiele wierszy poświęca autor Wielkopolsce, akcentując szczególnie, że „Ziemia to przyfrontowa”. Jednak szczególny to front, na którym przemieszani są „swoi” i „obcy” i w każdej chwili mogą przemienić się jedni w drugich. Z jednej strony przypomniany zostaje *adwokat Krauthofer / ogłaszający się Krotowskim*, a z drugiej – *chłop spod Rakoniewic / uparty – mieszkać na swoim - / choćby i w cyrkowym wozie / oraz jego dwóch synów / którzy /.../ przezwali się Berger*. Dlatego sama wielkopolska ziemia *plasko utworzona* wskazuje swoim mieszkańcom *absurd sypania szańców / w których pomieszkają się oblegający / z obrońcami*.

Jerzy Grupiński niepotrzebnie prosi w wierszu „Akt strzelisty – wiosenny”, by *święta Peryferia odpuściła synom marnotrawnym / którzy zapomnieli zapachu ziemi / błysku mokrej skiby w słońcu / i poszli na gładkie słówka i posadzki*.

Posadzki w mieście, gdzie mieszka może są i gładkie, ale słowa w jego wierszach – proste i dobitne, bez zbędnej wielkomiejskiej polityry.

---

Jerzy Grupiński, „Album poznański”, Wydawnictwo Miejskie Poznań, Poznań 2017. Fragmenty recenzji St. Szwarca opublikowanej w TOPOSIE 4(161)2018.

## Lubimy się bać?

Maciej Szymczak, filozof, agent turystyczny i przede wszystkim pisarz, jest autorem opowiadań z gatunku horror. Laureat konkursów, publikuje na znanych portalach, w magazynach literackich i antologiach. Jest człowiekiem nie obawiającym się zadawania pytań i szukania na nie odpowiedzi. Poszukuje u źródeł, jeśli tylko są w zasięgu ręki, a czego nie jest pewien, wplata bez obaw w treść, zostawiając margines odpowiedzi czytelnikowi, który wciągnięty w nić fabuły sam przyłapuje się na zdobywaniu wiedzy nie tylko w podręcznikach lecz także w swojej podświadomości.

Opowiadania zaczynają się dość niewinnie i dopiero czytelnik, prowadzony umiejętnie piórem autora, w połowie tekstu orientuje się jak bardzo został oplątany zdradliwą pajęczyną intrygi ziejącej otchłanią mrocznej podświadomości. Chwilami mam wrażenie, że Maciej Szymczak chce nam udowodnić, że nie istnieje życie bez zła i strachu, bo miejscem początku i zarazem końca tych uczuć jest ludzki umysł podatny na wpływy podstępnej, koszmarnej myśli.

Myślę, że przerażająca mitologia Cthulhu, której twórcą był Howard Phillips Lovecraft była inspiracją dla powstania niektórych opowiadań Macieja Szymczaka. W „Sinobrodym” budzący grozę koszmar dziesięciolatka Jeana, połączony z seksualnym spełnieniem opętanego hrabięgo przyzywa w mej pamięci opisy ceremonii pierwotnego rytuału ludu przybyłego z głębin jaskiń. Pokarm z żywej ofiary, krew, ból, śmierć i ekstaza – sam diabeł sponąby ze wstydu, że nie wpadł na pomysł tak zmyślnych tortur w piekle. Wplciona w krwawe sceny rozprawa sądowa, dzięki której opętany hrabia ma zostać ukarany za liczne bestialskie morderstwa ma nam uświadomić, że zło nie mieści się w żadnych ramach, a rozprzestrzenia swe macki poza granice ludzkiej godności, rozsądku i wiary, które nie są w stanie powstrzymać bestii karmiącej się naiwnością chrześcijan. W „Piramidzie” również dopatruję się analogii do mitologii Cthulhu. W opowiadaniu autor łączy naskalne obrazy przeraźliwych rytuałów z porwaniami dokonanymi przez UFO, rozciągnięciem czasoprzestrzeni i wiwisekcją. Przedstawiono pierwotny lęk przed nieznanym, gdy brak wyjaśnienia dla pewnych znaków, zjawisk. Kiedy pojawiają się spekulacje na temat kosmitów, którzy pojawiają się na Ziemi, by zbadać ludzi, zmienić genom i kształtować ewolucję, przychodzi mi na myśl program dokumentalny „Starożytni Kosmici”, cykl ukazujący miejsca na Ziemi, w którym doszukuje się śladów obecności kosmitów w przeszłości. Także Tomasz Kosiński w swej książce „Rodowód Słowian” zwraca uwagę na liczne ślady wspomnień o kosmitach żyjących niegdyś na ziemi, pośród ludzi. Wspomina o kataklizmach, które miały eliminować niepożądane gatunki (np. dinozaury) i wpływać na zmiany klimatyczne. Owe kataklizmy to skutki stosowania broni o nieznanym nam dzisiaj technologii i sile rażenia. W wyniku wojen pomiędzy kosmitami miała zatonać Atlantyda. Wiele o wpływie istot pozaziemskich na życie w czasach przedhistorycznych opisuje w swoich książkach Erich von Däniken. Wszystkie te informacje są pożywką dla wyobraźni autorów tworzących horror i fantastykę.

„Biblia Diabła” jest opowieścią przedstawiającą problem w czasie i przestrzeni. Teraźniejszość to kontinuum zła trwającego nieustannie od wieków. Nieczyste siły posługują się seksualnością i wdziękami kobiet, by zwieść na złą drogę młodych opiekunów księgi, która stanowi początek koszmaru. Odwieczna walka dwóch sił – dobra i zła – toczy się nie na arenie pełnej widzów. Wewnątrz człowieka przybiera barwy ciemności w momencie, kiedy ktoś na to pozwoli, poprzez słabość, żądzę, chciwość. Codex Gigas (*Wielki Kodeks, Wielka Księga*) to największy istniejący średniowieczny manuskrypt na świecie. Powstał w Czechach w XIII w. Obecnie przechowywany jest w Sztokholmie. Zawiera wizerunek diabła, stąd nazwa *Biblia Diabła* lub *Diabelska Biblia*.

Kolejne opowiadanie to „Vaticanus”. Traktuje o skutkach żądzy sławy i zdobycia dziennikarskiej nagrody Pulitzera. Przez chwilę przywołuje mi na myśl porównanie do bohatera Chretien de Troyes - Parsifala, poszukującego Świętego Graala. Kosma schodzi do podziemi Wiecznego Miasta, usadowionego na siedmiu wzgórzach, jakby na głowie apokaliptycznej bestii. Zejście do labiryntu prowadzi przez przejście podobne do wrót Tartaru, którego niczym Cerber strzeże Marco. Kosma pragnie otworzyć Ewangelię Jezusa z siłą Wergilego, podążającego przez siedem kręgów piekła, by ujrzeć swoją Beatrycze.

Kolejne opowiadania zawierają problem grzechu, zbrodni. Ma to uświadomić, jak bardzo słabym jest człowiek, ulega pokusom, zdradom i chciwości. Bohaterowie ponoszą karę adekwatną do popełnionych czynów. W „Pajęczynie” autor odchodzi od tematyki ściśle związanej z Biblią i skupia się na słowiańskiej mitologii. Przedstawiony tu Chors występuje pod postacią pająka żywiącego się koszmarami ludzi zmarłych we śnie. Natomiast w „Hotelu Nawia” spotkamy kudłatego i rogatego Welesa oraz Morę odzianą w czerną.

„Przymierze” jest wręcz odwrotnym przedstawieniem biblijnej przypowieści o ofierze z syna Abrahama. Tutaj ofiara wypełnia się. Przymierze zostaje okupione krwią pierworodnego, co ma doprowadzić Abrahama do sławy i chwały. Diabelska to umowa. Wyraża obawę przed kłamstwem popełnionym w przeszłości, by wprowadzić w błąd następne pokolenia i zmienić bieg historii.

Ostatnie opowiadanie „Słoneczny wojownik” to filozoficzne rozważania o wieczności i śmierci podczas ucieczki przed Kościelem i Kostuchą.

Przedstawiony zbiór opowiadań odkrywa przed czytelnikiem nieznaną obszar psychologii strachu. Skąd się bierze zło? Jak długo nami kieruje i ku czemu zmierza? Czy wiara jest jedna i sprawiedliwa? A jeśli jest coś jeszcze, o czym nikt nam nie mówi? Do jakiego stopnia okrutny jest człowiek i jak bardzo potrafi zranić, nim zada ostateczny cios? Maciej Szymczak nie odpowiada wprost na te pytania, ale niczym przewodnik prowadzi czytelników po świecie swojej wyobraźni, niejako nakazując poszukiwanie rozwiązań i wskazówek.

---

Maciej Szymczak, „Sinobrody i inne opowiadania”, Wydawnictwo Horror Masakra, 2018.

Kalina Izabela Zioła

**Spacer po Pekinie**

*Nikołajowi Troszinowi*

odkrywałeś przede mną  
wszystkie odcienie Pekinu  
lśniąco w słońcu wieżowce  
z zimnego szkła i stali  
a między nimi jarmarczne  
fioletowe choinki

Plac Niebiańskiego Spokoju  
gdzie wiecznie żywe spoczywa  
ciało Mao Tse-Tunga

złotoczerwony majestat  
Zakazanego Miasta  
w którym do dzisiaj krążą  
duchy minionych wieków  
lwów kamienne spojrzenia  
strzegące ciszy

aż wreszcie zobaczyłam  
te twoje ulubione  
stare ciasne uliczki  
zagraczone podwórka  
ze sztandarami koszul  
na sznurkach z plastiku

park w kolorze jesieni  
gdzie drzewa wznoszą ramiona  
tworząc cienisty tunel  
wiodący do marzeń

rozmowy nad cappuccino  
w małej ciemnej kafejce  
godziny jak motyle  
ulatuujące w przeszłość

noszę w sobie ten Pekin  
w zakamarkach pamięci  
i na dnie serca

już na zawsze

Brygida Mielcarek

**Tablice**

Kamień dla świata przytoczyć  
Przezroczysty jak OKO OPATRZNOŚCI  
Przytoczyć  
kamienne tablice z nowymi prawami  
Odczytać tajemnice zapisane na kamieniu

TY zapewne znasz datę  
Kiedy – rozchwiejesz posady świata

Paweł Wawrzyniak

**Z każdej strony to inaczej wygląda ...**

moi rodzice są starzy  
i bardzo się cieszę że ich ciągle mam  
w samolubnej myśli  
oni też się cieszą  
że nadal jestem dla nich  
samolubnie

Maria Ciążela

**po za**

za  
zwojem neuronów  
albo  
za  
stawką serca  
za  
chowało się wspomnienie  
za  
kręciło w głowie  
za  
bujało w obłokach

przechadzam się po nim  
jak po tęczowym moście  
z mojego  
do twojego  
snu

Zdzisław Czwartos

**Pożegnanie**

umarła  
leży cicho w trumnie  
wyścielanej białymi płachtami  
przy trumnie gromnice  
jak pochodnie płoną  
dym unosi się  
jodła i dym gonią  
w woni co zda się jest własnością ducha  
cisza

szlochanie  
ja słucham i w ciszy słyszę  
jak łyzy wielkie  
niczym kamienie rzucone w otchłań  
po drodze pędzą  
słyszac ich szemranie  
można porównać z łzami syna  
który do matki raz jeszcze się wspina  
i łzami swymi zastygłe jej ręce obmywa  
kochana matka...

Andrzej Appel

### **Uciszenie burzy**

Wtedy byłeś z nami. W przeciwnym razie  
Strach pomyśleć, co by się stało.  
Nagle chmury przesłoniły niebo. Zerwał się  
Gwałtowny wiatr. Z początku dosyć śmiało  
Odpieraliśmy fale, kurczowo uczepteni  
Wioseł. Ale nawałnica rosła, zacinął deszcz,  
Trzeszczały deski łodzi. Wreszcie doszło  
zwątpienie,  
Ktoś krzyknął: "Nauczycielu, czy chcesz,  
Żebyśmy wszyscy zginęli?". I Ty, wyrwany ze  
snu,  
Uciszyłeś tę, która zaglądała nam w oczy.  
Dlaczego więc teraz, kiedy tak często  
Doświadczamy jeszcze trudniejszych nocy,  
Nie staniesz pośród nas, by wyciągnięciem  
ręki  
Rozproszyc pustkę nasyconą lękiem?

### **Scenka rodzajowa**

Znowu śnieg.  
I to właśnie dzisiaj,  
gdy wreszcie  
zdecydowałem się  
wyjść. Wziąć  
na barki świat.  
Wracaj, mówi,  
grożąc upadkiem.

Na cóż mi twój  
niknący ślad?

### **Istny obłąd**

Chociażby ten biegacz,  
drepczący żwawo wokół naszego jeziora,  
z torsem wypiętym, dumnie obnażonym  
bez względu na aurę i porę roku.

Albo ten filuterny alpejczyk,  
kreślący wdzięczne piruety na stokach Civet-  
ty,  
rzewnie sobie przy tym przyśpiewujący  
w stylu bel canto.

Podziwiam takich jak wy,  
istoty nieważkie, przyprószone blaskiem,  
ja, stażysta w urzędzie wyobraźni,  
wasz wyblakły cień.

### **Ognisko**

Zapach jałowca.  
Piskliwe odgłosy lasu.  
Siedzieliśmy  
zebrani wokół, patrząc

z zapałem, jak  
ogień chłonie  
chrust, sosnowe szyszki,  
gałęzie, domy.

Grzmot. W dali.  
Niektórzy wznieśli  
nad płomień zaostrome patyki.  
I gdy nagle dostrzegłem

na jej policzkach  
łyzy, chciałem  
zapytać, czy to z powodu  
dymu. Ale się bałem.

\* \* \*

Jeśli sądzisz,  
że coś ci się od życia  
należy, pomyliłeś  
adresy.

Dla życia  
nie znaczysz nic,  
nic zupełnie.

Życie to czysta  
abstrakcja, a z takimi  
– wiadomo –  
nie ma żartów.

---

*ANDRZEJ APPEL ur. w 1969 roku w Warszawie, poeta i tłumacz, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Publikował m. in. w „Twórczości”, „Literaturze”, „Akcencie”, „Kwartalniku Artystycznym” i „Więzi”. Wiersze pochodzą z tomu „Uciszenie burzy” (Fundacja Duży Format, Warszawa 2019).*

## Barbara Kęcińska – Lempka

Zapiski książkowego mola

### Pocztówki z krainy cieni

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, na wakacjach w Rewalu oglądaliśmy reprodukcję starej pocztówki z początku dwudziestego stulecia. Panie w bufiastych kostiumach kąpielowych (ach te wydymane wiatrem pantalony!) rzucały kokietyjne spojrzenia w kierunku panów w pasiastych trykotach, by pod pretekstem nadciągającej fali, przytulić się mocniej do męskiego boku. Pierwszy rząd malowniczej grupy stanowiły dzieci baraszujące w wodzie pod czujnym okiem niani i rodzicielki. Mojego kilkuletniego syna bardzo rozśmieszył widok dawnych plażowiczów. Ja jeszcze wczoraj wtórowałabym mu w rozbawieniu, a nawet może zacytowała „Esika w Ostendzie” Boya: *Ruchem pantery / zrzuca jegiery / i gdzie hetery / tam Esik mknie / Barwne półświatki / pulchne mężatki / obcisłe gatki / śmieją się doń...* Nie, teraz się nie śmiałam, bo nagle uświadomiłam sobie, że oglądam umarłych – przecież ci wszyscy ludzie, nawet dzieci, nie żyją. Zastanawiałam się jak umierał ten jowialny starszy pan pluskający się obok eterycznej młodki, jak odeszła ta zacna matrona z czujnością wpatrzona w młode dziewczęta. Jak umierali panowie w pasiastych trykotach?

W miarę upływu lat, po przekroczeniu „smugi cienia” obcujemy z cieniami umarłych i jak Zofia Boniecka (\*1952 - +...), bohaterka książki Jolanty Szwarz „Między wczoraj a dzisiaj”, zastanawiamy się jaka data zamknie nasze życie. Pytamy jak autorka i jak pytali ci co przed nami odeszli: *Gdzie skryć się przed śmiercią? Kiedy wyjść na jej spotkanie?* Wracamy do przeszłości, wspominamy, a ponieważ wielu z towarzyszących nam w wędrówce przez życie ludzi nie żyje – podróżujemy po krainie cieni. Taką podróż odbywa Zofia Boniecka. Wraca do przeszłości, najpierw namacalnie, odwiedzając dawny rodzinny dom w małej miejscowości u źródeł Noteci. Potem, już we wspomnieniach, cofa się do dzieciństwa i do swojego pierwszego zetknięcia ze śmiercią – opisuje odejście dziadka.

*Nie warto odwiedzać przeszłości. Nie ma tamtego płotu i rowerów. Nie ma dziecka. Na schodach domu młoda, obca kobieta.* Książka Jolanty Szwarz „Między wczoraj a dzisiaj” zaprzecza temu twierdzeniu, a sama Zofia, po chwilowym rozczarowaniu widokiem zmienionych rodzinnych stron, lubi wspominać: *Zofia lubiła i lubi momenty samotności, wtedy może przenosić się w czasie. Wędrować po małych miasteczkach, akademikach, w ogóle gdzie chce. Nawet z PRLu do demokracji i z powrotem.* Bowiem przeszłość tkwi w nas i nas określa i choć w rodzinnym domu Zofii wycięto akacje, one wciąż istnieją, rosną w jej wspomnieniach. *Jesteśmy swoją pamięcią, chimerycznym muzeum zmiennych kształtów, stosem potłuczonych luster* - to słowa Jorge Luisa Borgesa, przytoczone przez Jolantę Szwarz. „Między wczoraj a dzisiaj” jest hołdem dla pamięci – ileż tu barwnych szczegółów z codziennego życia. Dawna szkoła, wiejski wychodek z pociętym „Krajem Rad”, matka piekąca chleb, „piaskowe łoże” dla zmarłego,

go, portrety wujów i ciotek, stawianie pijawek, miejscowe opowieści (świetna ta o duchu pazerne-go proboszcza). Życie codzienne stanowi tło dla dramatu kilkuletniego dziecka – pierwszego zetknięcia się z tajemnicą śmierci. *„Jeszcze niedawno lubiła przytulać się do niego, ale teraz, gdy leżał jak kłoda, nie sprawiał przyjaznego wrażenia. Czuli, że działo się z nim coś niebywałego, nieprzewidywalnego, czego dotąd jeszcze nie widziała. Przez głowę przemknęła jej myśl, że właśnie jest świadkiem, jak Pan Bóg odbiera jej dziadka. Wiedziała, że każdy kiedyś musi umrzeć, ale dlaczego on i teraz, kiedy go jeszcze potrzebowała. Jakie to wszystko dziwne i tajemnicze.*

Zosię śmierć przeraża i równocześnie fascynuje, ciekawi. *Śmierć krążyła wokół, słychać było jej oddech. Czekala na chwilę nieuwagi.(...) Zosia, choć bardzo się bała, chciała zobaczyć, jak naprawdę wygląda. Jedni mówili o niej szkieleciara, bo jak przychodziła, to słychać było charakterystyczny klekot kości, albo kostucha. Często występowała z kosą, którą ścinała. Dziewczynka zamyśliła się, ciekawe co ścinała, chyba nie głowę. Nieraz widziała ludzi leżących w trumnach i wszyscy mieli głowy na swoim miejscu. Inni twierdzili, że to elegancka dama w pięknej czarnej sukni i w czarnym kapeluszu. W ostatniej chwili życia podchodziła i na ustach śmiertelnika składała ciepły pocałunek.*

Dorośla Zofia nadal się boi, choć współczesność to już nie jej świat. *Coraz więcej miejsc odpycha. Coraz więcej barier. Zofia kuli się w fotelu. (...) Liczy mijające dni. Kombinuje od jakiej liczby je odjąć, żeby dowiedzieć się, ile pozostało. Wyteża słuch. Nikt z tych, którzy odeszli nie puka do drzwi. Pani Zofio! Ależ oni pukają, pojawiają się naszej pamięci i w snach - pani wspomnienia są na to żywym dowodem.*

Polecając barwnie napisaną książkę Jolanty Szwarz, nie mogę oprzeć się przytoczeniu fragmentu wiersza Leśmiana, który rozpoczyna jeden z rozdziałów (każda część „Między wczoraj a dzisiaj” ma swoje motto zaczerpnięte z literatury): *Ojciec mój tak swą śmierć przeoczył, / Że idąc do dom - w grób się stoczył / Siostra umarła z leż i z głodu, / A wszyscy mówią „Bez powodu!” / A brat mój tak się z bólem ścierał, / Żem nastłuchiwał, gdy umierał / Kochanka moja teraz ginie / Żem ją pokochał w złej godzinie. / A ja - nim miasto w mroku zaśnie - / Idę ulicą, idę właśnie...*

Jeszcze idziemy ulicą.

Pisane w Dzień Zaduszny 2018 roku

Jolanta Szwarz, „Między wczoraj a dzisiaj”, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2018.

## Szymon Kantorski

### To wszystko, co miałam do powiedzenia,

stwierdza Magda Gałkowska w rozmowie z Rafałem Czachorowskim, wydawcą książki „Bestia i powódź”, czwartego tomu poznańskiej poetki. Ostatniego, co podkreśliła dobitnie, zapytana o to trzy razy. Czy po trzykrotnym wyparciu się poezji można do niej wrócić?



Napisane w ciągu jednego roku, trochę na zasadzie domina, gdy jeden czytu punkt porusza drugi, wiersze uderzają w ton, który znamy już z lektury tomów „Toca” i „Fantom”. Po raz kolejny mamy do czynienia ze swoistą wiwisekcją autorki. *A ileż można wypruć flaków*, zauważa ironicznie Gałkowska. To raczej retoryczne pytanie tłumaczy nieco powziętą decyzję, czy nie jest jednak prze-myślaną prowokacją, wymierzoną w czytelników a zwłaszcza krytykę, która dość konsekwentnie przez lata pomijała ją milczeniem? Być może, choć laureatka nagrody Bierezina dość przewrotnie poradziła sobie z tym stanem rzeczy. Postanowiła zrobić to, przed czym panicznie uykają inni autorzy. Zaszufładowała się. *To co piszę, to poezja konfesyjna*. Ten zabieg nie dość że legitymizuje, zadomawia ją w znanej sobie poetyce, to przy okazji określa stan ducha. Nieustanną rywalizację między potrzebą wyrzucenia z siebie niechcianych neuroz i jednoczesną ich akceptacją, jako paliwa niezbędnego w procesie twórczym.

Metodą prób i błędów dochodziła do ostrości widzenia, nazywania, klasyfikowania. Czy „Bestia i powódź”, po długiej emocjonalnej i literackiej „obróbce”, jest esencją tego co Gałkowska ma do przekazania czytelnikowi? Czy faktycznie na początku swej poetyckiej drogi *wyrzuciła tylko klucz, by po latach wyłamać zamek*? („Wściekle psy”). Uważam że tak. Tajemnica leży jednak nie w samych wierszach, obszarze zainteresowań, warsztacie, języku poetki. Te się nie zmieniły. Zmieniła się ona sama.

*to jest jak sen, z którego się budzisz i wstajesz i widzisz rzeczy takimi, jakimi są*  
(„Friedhof der Namenlosen”)

Przebudzenie nie było gwałtowne, to proces który mozolnie toczył się dzień po dniu. W najnowszej książkowej odsłonie mamy więc do czynienia z dobrze już znanym spisem inwentarza. Uczucia, a raczej ich doskwierający brak, stawanie w obliczu samotności. Podobne do siebie historie przewijają się w tekstach Gałkowskiej od samego początku jej przygody z poezją. Ranią, doskwierają, są już jednak dla autorki czymś oswojonym. Karcianą grą w której opanowało się większość sztuczek i tricków. Nawet ów as z rękawa, Świetlicki, który *przychodzi się kochać* w tekście „Funeral party”, nie jest już tym samym. Upływ czasu dotyka również niegdysiejszych zachwyty. Teraz już spokojnie mogą stać się tematem żartów, także koniecznej, oczyszczającej autoironii. *Czasem bywam jak miasto w ruinie* („wszystkie wojny światowe już mnie nie dotyczą”). A jeśli ktoś szuka ukojenia w pisaniu, tym gorzej dla niego, ponieważ *nawet Stephen King w końcu bredzi jak Coelho* („miłość”). Czy taką właśnie wizję ma zapamiętać czytelnik w tym ostatnim już przeciwieństwie poetyckim akcie? A może w tym szaleństwie jest metoda?

*Gasząc niedopałki w plastikowym kubku na drugi dzień zaczynają od początku*  
(„dla miłośników dokarmiania rybą”).

Czyżby na przekór sobie i światu Gałkowska stała się niepoprawną kolekcjonerką endorfin? Poniekąd tak. Jednak, jak wspomina, *Boga w tym nie ma*, trzeba więc ewoluować, by organizm potrafił odnajdywać je w zwyczajnej bieganinie, *pocie na coraz bardziej umięśnionych udach* („atawizm”). Uwikłana w codzienne prozy poetka odkryła bowiem, iż coraz grubsze pancerze wokół „miękkiego środka” na nic się zdają. Zostaną rozbite, wypalone, pęknięte. *Na moją głowę, spadnie deszcz lub gwiazda albo chociaż napalm* („wszystkie wojny

światowe już mnie nie dotyczą”). Pozostaje być przygotowaną na opuszczenie kolejnej, pozornie bezpiecznej przystani. Lecz *bląkająca się bez celu ogłuszona ślepa*, stawia tylko dymną zasłonę. Już nie odbudowuje murów, nie sieje, nie dokarmia, nie stawia sobie (od)wiecznie tych samych pytań. Czy zna odpowiedzi? *Kto pierwszy powie Kocham ten przegrywa* („wiersz miłosny”) To pewnie jedna z nich. Uczucie stało się *zawrotem głowy, kiedy się zaciąga* („koniec sierpnia w mieście”), *ułudą, szczyptą narkotyku, świeżo odpalonym jointem* („lady in fire”), przewidywalnym ciągiem zdarzeń. Choć jednak wciąż sprawdza *ile jeszcze może unieść w sobie (...) tak naprawdę po nic*. Warto więc pokochać siebie, jeśli jest się na siebie skazanym. To pewna dojmująca prawda, zawarta między wierszami tej książki. Pokochać własne demony, wyhodowane, zadomowione. Motyw lustra „tłuczony” konsekwentnie w kolejnych tomach, jest u Gałkowskiej czymś w rodzaju papierka lakmusowego, swoistą zabawą w kotka i myszkę z samą sobą. Tam *wciąż jeszcze nie dostrzega siebie*, choć z pewnością tkwi w nich co rano. Nie odnajduje jednak tej wersji siebie, którą chciałaby zobaczyć. A to już pewna trudność. Gdyż magiczne zaklęcia nie zawsze działają. Magia czerpie z wiary, której Gałkowska jest pozbawiona. Ale próbuje, w tym przekornie tkwi słabość ale także olbrzymi potencjał.

Jeśli o drobnych słabościach, są nimi niewątpliwie kolejne próby odnajdywania się w nie swoich światach poetyckich. Cytaty, parafrazy, odniesienia, ciągłe upewnianie otoczenia, ale głównie siebie, iż jest się częścią literatury. Podziobem poezji. Podziobem podzbiorem „poezja konfesyjna”. Współwinna owej niepewności jest niewątpliwie krytyka literacka, która przez długie lata nie potrafiła zdobyć się na dostrzeżenie tego, co Gałkowska ma do przekazania. A ma, o czym dobitnie zaświadcza „Bestia i powódź”. Niestety, szukanie bliskich sobie zaklęć u innych może osłabiać wyrobioną już poetycką odrębność. Poetka ulega niekiedy w tekstach tym niebezpiecznym zauroczeniom, które nauczyła się rozpoznawać na innych płaszczyznach. *Walcząca o niepodległość* („alamo”) autorka winna z całą mocą bronić swych granic. Nic bowiem tak nie osłabia ich spójności jak obca, nierozpoznana i w konsekwencji wroga gra skojarzeń. Słowa zdradzają ostatnie, lecz ta zdrada boli chyba najbardziej.

Czy Bestia poradzi sobie z powodzią, czy raczej zginie w jej odmętach? Jak w dobrym kryminale, odpowiedź powinna tkwić gdzieś na końcu. Jednak to podobno już koniec, paść muszą więc sakramentalne pytania. Kto zabił? I dlaczego? Ponieważ jednak na razie wszyscy mają się dobrze a żaden trup nie wypada z szafy, wypada na pewno zapytać samej autorki, być może *znów chciałaby być matką smoków, bo czy cienkie, drżące nogi mogą się równać z szumem skrzydeł?* A pamiętajmy, iż *zima nadchodzi*. Wszystko więc przed nami...

---

Magdalena Gałkowska, „Bestia i powódź”, wyd. Fundacja Duży Format, Warszawa 2018.

Witold Zakrzewski

**Im więcej pytań...**

...w bezdźwięcznym Świecie poruszają się wspomnienia. Zamknięte w wyszukanych barokowych kształtach starają się nieporadnie naśladować rzeczywistość. Mimetyczne wobec natury lub będące jej wytworem, złudnie migają świetlikami, tworząc rysunki pośród kropel gwiazd. Dlaczego? Dlaczego nagle wśród niemal przezrzystych, rozproszonych kształtów pojawia się początek zbiegu okoliczności? Linie i plamy poczynają tworzyć obraz, niknący w zakamarkach swojego JA, usiłującego na próżno przeczytać sylaby i słowa zaklęcia przeznaczonego dla każdego z osobna. W poszukiwaniach wiatru mnożą się pyłki kwiatów zdolne zainicjować zapach letniego słońca, sennego jak sješta życia. Warkocze blików muskają świeżą zieleń liści. Niezapomnianą soczystość młodości zamkniętą i nieogarnioną w pragnieniach. Oto laserunkowo przenikające Światy, z których żaden nie pasuje do pamiętanych sepiowych chwil...

Podróże są szukaniem wyobrażeń o sobie...

Na początku niewielkie, migocące taflą nocnego jeziora, powoli kokietują, zmuszając do nieustannego myślenia. Wreszcie uzależniają nostalgia i jest to znak, by wyruszyć na poszukiwanie swojego czasu. Czas motyla mierzony jest zapachem kwiatów, czas człowieka logarytmem zdarzeń i niespełnionych pragnień. W tej podróży przemijanie jest nieubłagane, tak jak skazanie na wieczność, a odkrywany stopniowo własny język, iluminuje to, co dotąd przeczuwane nie dawało spokoju. Kładę farby i przestrzeń na papier, tworząc symultaniczną refleksję nad sobą „tu i teraz”. Fascynująca jasność intuicji pozwala zbliżyć się od bojaźni po Katharsis. W rytuale tego dialogu nie ma miejsca na Fausta, pragnącego zatrzymać uciekające chwile. Raczej przypomina on wędrowkę Orfeusza z metamorfozą marzeń, nadziei i wiary w momencie obejrzenia się. W nieuchwytnym wrażeniu pozostaje potęga niespełnienia i niedosyt, szukające ujścia w nowych konstrukcjach fantazji. Odnajdują swój czas, ograniczone tylko formatem papieru. Potrafią jednak pokonać nieznanne. Zanim ostatecznie nazwę, próbuję je opisać. Zachłanność Wszechświata, to po prostu zwykła potrzeba zapelnienia pustki - horror vacui. Tak bardzo jest mi to bliskie w monstrialnej przestrzeni, za którą ukrywa się czas, na jaki czekam. Codziennie mijam terażniejszość, mającą kształt leniwego lamparta. Lecz, gdy chcę go sprowokować, okazuje się rozjuszony; uciekam, marząc o odwadze ulegnięcia.

Zazdroszczę pokory derwiszom. Szepcząc co dzień swoje myśli pustyni, trwają w bezkresnej chwili, zatrzymanej przez nich w momencie poznania siebie. Droga przed i do siebie prowadzi przez abstrakcje odrzucenia potęgi własnego ja i patrzenie na istnienie jako całość. Moje „być”, kulturowo obciążone „mieć”, z totemami wartości i hierarchii, ze zgiełkiem Wielkiego Miasta, milionami heliocentryków, mijających się bądź wpadających na siebie, nie przypomina raczej odgłosów pustyni, na które wyczulony jest derwisz. Przebywanie pośród tej innej pustyni zbudowało we mnie ulice i budowle,

uczyniło formą podległą nowemu chaosowi, nauczyło rozpoznawać jej monotonię i struktury. Nie umiało jednak wyzwolić kontemplacji, jakże innej od refleksji. I przede wszystkim rozbudziło tęsknotę za sobą. Za swoją nieujarzmioną odmiennością świata przyrody. Szukam w niej odbicia siebie, a w sobie jej odbić. Czy to ma być czas, którego szukam? Opisywanie pełne konfabulacji podobnych purpurze z koła barw? Ciągła potrzeba uzupełniania i interpretowania natury? Czas kurczący się i wymykający, nie dający poznać? Kiedy pozwolę sobie móc powiedzieć, że wiem, jak się nazywa?

Im więcej pytań, tym bardziej poznaję prawdę, na której wieczność ktoś wyraził zgodę. Prawdę o Zagadce. Prawdę o szukaniu i odkrywaniu swoich wielkich i małych światów.

I na rozwiązanie której każdy ma inny czas - SWÓJ CZAS.

**Weronika Materkowska**

\*

wiatr przetrząsa sad  
pod rozbieloną chmurą  
śpiewają ptaki

\*

na między grusza  
sypnęła białym kwiatem  
zieleń rozkwitła

\*

poranna rosa  
pobłyskuje w trawie  
- radosne dzieci

**Agnieszka Mąkinia****Sztuka przetrwania**

Nauka przeżycia  
bez ciebie  
zdawała się zaliczona

Myśli o tobie  
znów trampoliną  
niebieski mózg wzwyż

Gdybyś tak  
mi się przyśnił  
na legalu



Edyta Kulczak

## **Wielkie płótna zastawiają świat – puste gwoździe po obrazach**

*O malarstwie Witolda Zakrzewskiego*

Gdy jest mrok, pozwala wchodzić do pokoju, szukać za szafą – szkice, obrazy, wiersze, notatki, zdjęcia, sztalugi, teleskopy wymierzone w kosmos, s.o.s. dla rąk i oczu; ze stosu nowego, świeżego, jakby wczoraj zostawionego – zielona pliszka ze źdźbłem maźniętym, widać w świetle połyskującym z okna, czuć zapach, ruch skrzydeł, rozmyślanie, przestrzeń...

Nazwę to poezją w malarstwie – lekkość i niebagatelność koloru granicząca z widocznością niezamalowanego płótna; ulotność, nienazwalność przedstawionego tematu, który spekulatywnością i różnorodnością kontekstów może zapełnić księgi dociekań i skojarzeń. Subtelna metaforyczna narracja współpracuje z wyobraźnią odbiorcy, ulega zjawisku animacji, przeobrażeniom pod wpływem obserwacji, zaprasza do środka, wchłania w swój sens, czas i przestrzeń. Widz tego dynamicznego zjawiska, na oczach którego przełamuje się statyczność płótna, staje się elementem własnego przeżycia i gry twórcy. Kadr za kadrem tworzy zjawisko, historię, opowieść. Znika poza granicą oddzielającą prawdziwość rzeczywistości od fikcyjności sztuki. Obserwator zostaje uczestnikiem i kreatorem własnej projekcji obrazu. Stan bezradności i zagubienia w odbiorze przechodzi w budzenie się pomysłu, asocjacje, a w dalszym ciągu w aktywny akt twórczy.

Technicznie – obrazy sprawiają wrażenie niedokończoności, dają odczucie, że artysta nagle porzucił pędzle, myśl dzieła i nigdy do niego nie wrócił. A robota jest jeszcze w fazie szkicu, pomysłu, projektu; można by coś poprawić, dokończyć, zamknąć, dopowiedzieć, wyjaśnić. Odbiorca chwytą za farby i stwarza świat dalej, pomagając twórcy w dopełnianiu nieskończoności dzieła w osobności własnego przeżycia duchowego i intelektualnego, dla siebie, w swojej głowie. To wyrafinowanie i magnetyzm sztuki tego artysty.

---

**Witold Zakrzewski** (ur. 1962 r. w Rzeszowie) dyplom w PWSSP w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu). Uprawia malarstwo sztalugowe i monumentalne, grafikę projektową oraz prowadzi działalność społeczną. W latach 2001-06 pełnił funkcję prezesa Okręgu Poznańskiego ZPAP. Założyciel i kierujący Galerią Rozruch w Poznaniu. Kurator, członek jury oraz uczestnik wielu wystaw polskich i zagranicznych. Prezes Zarządu ESST Ekoart, członek Kapituły Nagrody Artystycznej Miasta Poznania, wielokrotny Przewodniczący Komisji Dialogu Obywatelskiego przy Wydziale Kultury Urzędu Miasta Poznania. Czynnie działa na rzecz integracji środowisk twórczych. Odznaczony odznaką Zasłużony Działacz Kultury. Mieszka w Poznaniu.

Robert Paweł Kamin

### **Aforyzmy**

Uwierz w Boga a i Bóg uwierzy w ciebie.

Prawda nie płaci.

Najwięcej mamy od mamy.

Szukanie drugiej połowy czasami prowadzi do szukania drugiej połówki.

Cudze błędy nie boją, dlatego trzeba się uczyć na swoich.

Pan Bóg jest w Niebie, dlatego tylko ci, którzy mają głowę w chmurach, są w stanie Go znaleźć.

Przebaczenie jest słodkie.

Jeśli nie masz nad kim pracować – pracuj nad sobą.

Żona to przedłużenie matki.

Poeta posługuje się językiem Aniołów.

W drodze do prawdy natchnienie ważniejsze jest niż zmysły.

Żona to poezja, a mąż to proza.

Błądząc więc szukam, szukam więc jestem.

Nie tylko do pisania, ale i do czytania wierszy potrzebnej jest natchnienie.

Podczas pisania wierszy trzeba mieć zaufanie do słów, które podsyła Bóg.

---

W numerze wykorzystano prace

Witolda Zakrzewskiego.

Babel s. 1

Jola Szwarz s. 2

Jerzy Grupiński s. 6

Piotr Bagiński s. 9

Edyta Kulczak s. 19

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny

**Wydawca** – Klub Literacki „Dąbrówka” – Piątkowskie Centrum Kultury

Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,  
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań

**Redaguje** Jerzy Grupiński

tel. 61 833 04 83

e-mail [jerzygrupinski@gmail.com](mailto:jerzygrupinski@gmail.com)

[jsszwarcowie@wp.pl](mailto:jsszwarcowie@wp.pl)

korekta - Jolanta Szwarz

przygotowanie do druku - Stanisław Szwarz

„Protokół” dostępny także na Facebooku oraz stronie

<http://www.poecipolscy.pl/proza/protokol-kulturalny/>

(także numery archiwalne)

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.